ROK XXVI. We Lwowie, dnia 15. listopada 1919. Nr. 14.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata: roczna . . 36 — K
półroczna . 18·— „
kwartalna. 9·— „
Numer pojedynczy kosztuje
1 kor.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi na razie tylko 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya
X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą
1 kor. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są
od opłaty pocztowej.

Projekt reformy studyów teologicznych na uniwersytetach polskich.

Od dawna odczuwaliśmy, że studya teologiczne na obu polskich uniwersytetach, krakowskim i lwowskim, wymagają gruntownej i wszechstronnej reformy. Wydziały świeckie tych uniwersytetów zyskiwały, choć i tu słynny „Sparsystem“ nie dopuszczał szybkiego rozwoju, od czasu do czasu nowe katedry, seminarya i instytuty, a liczba docentów prywatnych była, zwłaszcza na wydziałach lekarskich i filozoficznych, wcale pokaźna. Natomiast teologia uzyskała od roku 1848, a więc przez 70 z górą lat tylko katedry prawa kościelnego, dogmatyki fundamentalnej i filozofii, a w Krakowie (gdzie filozofia nie miała osobnej katedry) także socyologii, tak że liczba katedr (już z nadzwyczajnemi) wynosiła zaledwo 9. Przedmioty tak ważne, jak patrologia i historya sztuki, nie były zgoła uwzględnione w planie nauk teologicznych, a homiletyki, katechetyki, pedagogii uczono „ubocznie“, nieraz siłami zgoła nie ukwalifikowanemi. Seminarya naukowe, które stanowią główną podstawę pracy naukowej na uniwersytetach i powinny zaprawiać młodzież do samodzielnej pracy, powstały dopiero przed 15 laty i to (we Lwowie) tylko 3: historyczne, homiletyczne polskie i ruskie. Liczba docentów prywatnych bywała znikomo mała: habilitowali się kandydaci zwykle dopiero wówczas, gdy katedra wakowała lub miała wnet być opróżniona, a często musiano całe lata suplować wykłady z powodu braku ukwalifikowanego kandydata

W ostatnich latach czyniły grona profesorów, popierane przez Najpb. Episkopat, nieraz starania, by te niedomagania usunąć. Udało się n. p. we Lwowie uzyskać od rządu austryackiego kreowanie osobnej katedry filozofii chrześcijańskiej, wprowadzenie remunerowanych wykładów dogmatyki spekulatywnej i historyi sztuki chrześcijańskiej, wyższe remuneracye za wykłady katechetyki, pedagogii, jęz. semickich i wyższej egzegezy. Liczba docentów wzrosła nieco; w niektórych latach było ich we Lwowie po czterech lub pięciu Natomiast starania o kreowanie dalszych katedr, większej liczby seminaryów i instytutów naukowych i lepszą ich dotacyę rozbijały się stale o opozycyę ministerstwa skarbu, reforma zaś studyów wymagała prócz tego jednomyślnej zgody całego Episkopatu austryackiego, o którą było bardzo niełatwo.

W pierwszym roku istnienia niepodległej Polski rozpoczął rząd i uniwersytety starania nietylko o kreowanie nowych wszechnic, ale także o ich odpowiednią organizacyę, względnie reorganizacyę. Obok organizacyi ustroju i administracyi uniwersytetów, nad którą pracowały w ubiegłym roku komisye międzywydziałowe w Krakowie, Lwowie i Warszawie i ankieta ogólna zebrana w czerwcu i lipcu w Warszawie, zabrały się wszystkie wydziały, a więc i teologiczne, do projektu gruntownej reformy swych studyów. W czasie obrad wspomnianej wyżej ankiety, omawiali delegaci wydziałów teologicznych krakowskiego, lwowskiego, warszawskiego i lubelskiego (poznański i wileński nie były wówczas jeszcze zorganizowane) tę sprawę i przedłożyli wspólny referat reprezentantom Episkopatu i rządu.

Do zupełnego ujednostajnienia programu nie mogło dojść z powodów zasadniczych. Wydziały teologiczne warszawski i lubelski istnieją na wzór b. Akademii petersburskiej obok seminaryów biskupich w tych miastach i przyjmują na słuchaczów tylko ukończonych seminarzystów: nie potrzebują zatem podawać słuchaczom całokształtu nauki w każdym przedmiocie, lecz kształcą odrazu niejako specyalistów w pewnych gałęziach wiedzy teologicznej. Inne wydziały teolog. przyjmują natomiast słuchaczów bezpośrednio po egzaminie dojrzałości i muszą im dać możność wysłuchania wszystkich obowiązkowych przedmiotów teologicznych.

Pierwszym postulatem wszystkich gron profesorskich (w porozumieniu z Najpb. Episcopatem) jest wprowadzenie 5-letniego kursu nauk. Doświadczenie okazało, że jest rzeczą niepodobną, by w czterech latach wyczerpać porządnie i gruntownie nawet dotychczasowy plan nauk, a gdyby chciano wtłoczyć w ramy czteroletnich studyów nowe przedmioty lub pogłębić naukę, doprowadziłoby to niechybnie do nadmiernej liczby godzin wykładów na każdym roku, a zatem do przeciążenia słuchaczów. Ministerstwo nie stawia zasadniczych przeszkód temu żądaniu.

Liczba katedr wynosiła dotychczas (jak wspomniałem) 9: filozofii, historyi Kościoła, studyum biblijnego Starego i Nowego Zakonu, dogmatyki fundamentalnej i specyalnej, moralnej, pastoralnej i prawa kościelnego. Projekt reformy studyów domaga się natychmiastowego kreowania zwyczajnych katedr socyologii (w Krakowie jest od kilku lat), historyi sztuki kościelnej z archeologią, katechetyki z pedagogią i homiletyki. W najbliższej przyszłości byłyby potrzebne katedry: dogmatyki spekulatywnej, historyi Kościoła w Polsce i na Wschodzie, tudzież patrologii; na dalszym planie są katedry: języków biblijnych (ewent. i assyriologii), archeologii, druga katedra filozofii, druga katedra prawa kościelnego, katedry religii porównawczej, historyi dogmatów, liturgiki i muzyki kościelnej. Już obecnie wstawiono w budżet lwowskiego wydziału teologicznego katedry historyi sztuki kościelnej, katechetyki z pedagogią i homiletyki, a prawdopodobnie uda się także uzyskać katedrę socyologii. Obok 3 dotychczas istniejących seminaryów nau-

kowych preliminuje budżet państwa kilka nowych, a jest nadzieja, że wkrótce będzie miała każda katedra swoje seminaryum naukowe, ewent. odpowiedni instytut.

Wszystkie jednak starania o reformę i pogłębienie studyów teologicznych będą bezowocne, o ile nie da się wykształcić i przygotować pokaźnego zastępu poważnych pracowników naukowych. Brak odpowiednio kwalifikowanych kandydatów na nauczycieli teologii okazał się w rażący sposób przy organizowaniu nowych wydziałów teologicznych w Warszawie, Lublinie, Poznaniu i Wilnie. Wydział teologiczny w Warszawie, który domagał się 20—30 katedr, miał z końcem zeszłego roku 5-ciu profesorów, resztę grona stanowili t. z. „wykładający". Dawne wydziały nie mają też hypertrofii sił naukowych, a o kwalifikowanych kandydatów toczą walkę 2 a nieraz i 3 uniwersytety. System pożyczania profesorów (za urlopem) innemu wydziałowi, lub przenoszenia sił naukowych z jednej wszechnicy na drugą nie zaradzi złemu: wprawdzie zatka się jedną lukę, ale na innem miejscu powstaje inna, nie mniej przykra i szkodliwa. Należy obecnie wytężyć wszystkie siły, by z w i ę k s z y ć l i c z b ę p r a c o w n i k ó w n a u k o w y c h n a p o l u t e o l o g i i, a do tego potrzeba wykształcić i wyszkolić spory zastęp ludzi młodych, zdolnych i chętnych do pracy. Rzecz to obecnie nie łatwa. Wojna przetrzebiła i tak niezbyt liczne zastępy polskiego kleru i wyludniła seminarya duchowne. W niektórych dyecezyach galicyjskich, a jeszcze bardziej w b. Królestwie panuje dotkliwy brak kapłanów i trudno obsadzić nawet niezbędne posterunki duszpasterskie: kapłan zaś, który pragnie gruntownie wykształcić się i wyspecyalizować w pewnej gałęzi wiedzy teologicznej, jest oczywiście przez czas swych specyalnych studyów, a więc czasem przez kilka lat niejako stracony dla swej dyecezyi. Ale ta pozorna ofiara jednej czy kilku sił w każdej dyecezyi opłaci się później sowicie, gdyż kapłan, lepiej i gruntowniej wykształcony, wynagrodzi swą pracą jako nauczyciel i wychowawca kleru czas i pieniądze, włożone w jego wykształcenie. Szczególniej dyecezye, które mają korzystniejszy status kleru, powinny by ponieść pewne ofiary na rzecz biedniejszych i bardziej potrzebujących: wszakże idzie tu o wspólne dobro całego Kościoła polskiego, bo o rozwój i pogłębienie nauki teologicznej i stworzenie ognisk prawdziwie naukowego teologicznego życia w naszej Ojczyźnie.

Nie łatwo też obecnie wysłać kogokolwiek za granicę na studya: rażąco nizki stan waluty markowej, a tem bardziej koronowej czyni pobyt i nawet najskromniejsze życie we Włoszech, Francyi lub Szwajcaryi tak niesłychanie kosztownymi, że potrzeba dzisiaj dziesiątek tysięcy marek czy koron, by módz w tych krajach bodaj przez jeden rok poświęcić się pracy naukowej. Zanim zatem nastąpią korzystniejsze stosunki pieniężne w kraju, należy się z konieczności ograniczać do tego, że się kapłanom ułatwi zdawanie doktoratów na jednym z naszych uniwersytetów, a tym, którzy okazują prawdziwe uzdolnienie i chęć do pracy naukowej, dalsze specyalne studya. Jeżeliby udzielano takim kandydatom płatnych urlopów, zapewniano im tani lub bezpłatny pobyt w seminaryach duchownych i inną pomoc materyalną, mogliby przygotowywać się do habilitacyi pod kierunkiem i przy pomocy fachowych profesorów. Niektórych możnaby wysłać (choć to może obecnie mniej sympatyczne) do Niemiec, gdzie stosunkowo taniej, a w wyjątkowych wypadkach znalazłyby się fundusze, by jednego lub drugiego kandydata wysłać do Rzymu, Fryburga czy Paryża.

Do tego potrzebna jest z jednej strony wydatna pomoc rządu, z drugiej strony pewna o f i a r n o ś ć z e s t r o n y k l e r u. Wszak dawne i nowe prawo kościelne (kodeks Benedykta XV. can. 1355 i 1356) pozwalają i polecają nakładanie podatku na kler dyecezyalny celem utrzymania seminaryów (seminaristicum): dobrowolne czy przepisane podatki kleru mogłyby umożliwić nawet w dzisiejszych ciężkich czasach wykształcenie poważnego zastępu pracowników naukowych.

Aby w tej sprawie postępować planowo i celowo, a nie dorywczo, by nie być co chwila zaskoczonym brakiem kandydatów na ten lub ów posterunek naukowy, by nie marnować niepotrzebnie sił i grosza publicznego, należałoby ustalić dwie kwestye: 1) zestawić kataster koniecznych potrzeb naukowych wszystkich uniwersytetów polskich w bieżącej chwili i na najbliższą przyszłość; 2) zestawić dokładny spis sił naukowych, któremi rozporządzamy i to sił zupełnie ukwalifikowanych, jakoteż takich, które znajdują się w stadyum przygotowawczem, a dalej kandydatów, którym na razie brak jeszcze kwalifikacyi naukowych, ale którzy ukazują prócz uzdolnienia także zamiłowanie do pracy naukowej. Grona profesorów wydziałów teologicznych powinny porozumieć się między sobą i ułożyć takie spisy, a potem udać się do Najprz. Episkopatu polskiego, a przedewszystkiem do tych księży Biskupów, w których dyecezyach istnieją uniwersytety, z prośbą o pomoc. Wobec bardzo znacznych braków sił naukowych nie tylko dla uniwersytetów, ale i dla seminaryów dyecezyalnych, z których niejedno domaga się gwałtownie reorganizacyi i postawienia na wyższym poziomie naukowym, musi taka akcya być rychłą, intenzywną i na większą skalę. Gdy z pomocą Bożą uda się zaspokoić najkonieczniejsze potrzeby, gdy nastąpią czasy normalne, a zwłaszcza gdy wyrobi się u kleru większe zamiłowanie do pracy naukowej i poszanowanie tej pracy, będzie później stosunkowo łatwiej o dalsze kształcenie przyszłych pracowników naukowych w kraju lub zagranicą i będzie można spokojnie i skutecznie pracować nad rozwojem nauki teologicznej w Polsce.

X. A. G.

O cześć kapłańską.

Swojego czasu ogłosiłem w „Gazecie Kościelnej" i innych pismach projekt „Księgi pamiątkowej duchowieństwa polskiego z czasów wojny 1914—?". Miała ona przedstawić prace i zasługi nasze podczas wojny i być przez to bronią przeciw ewentualnej nagonce, jaką na nas mogą urządzić żywioły, którym z rozmaitych powodów zależy na zdyskredytowaniu duchowieństwa. Zaznaczyłem w odezwie, że tylkobym się cieszył, gdyby całą tę sprawę wzięły w ręce jakiejś poważniejsze osoby. Projekt nie znalazł oddźwięku.

Przypominam dzisiaj te sprawę, ponieważ obecnie zdarza się coraz częściej, że w rozmaitych pismach od czasu do czasu spotyka się notatki o pewnych nadużyciach duchowieństwa. Z tych rozmaitych szczegółów rysuje się taki mniej więcej obraz: że w szafowaniu środkami, które miały służyć najuboższym, byliśmy niesprawiedliwi; dawaliśmy cukier czy mąkę czy inne rzeczy osobom przez siebie protegowanym, nie najuboższym i w nadmiernej ilości, że prowadziliśmy interesa, nie bardzo licujące z naszem powołaniem, że puszczaliśmy na pasek towar, który miał być sprzedany ludności najuboższej po nizkich cenach, że w czasach ogólnej nędzy i w okolicach zniszczonych doszliśmy do dużych oszczędności tak, że kupujemy kamienice, stawiamy domy, a nawet ubiegamy się — i to młodzi — o kupno majątków ziemskich itd. itd. § 19 nie wszystko prostował — a do tego doliczyć trzeba to, co sobie opowiadają ludzie na ucho o życiu prywatnem niektórych kapłanów.

Temu obrazowi mniej lub więcej prawdziwemu czy nieprawdziwemu — oby zupełnie nieprawdziwemu! — który staje się własnością ogółu społeczeństwa, nie można przeciwstawić zasług i poświęcenia wielu kapłanów, których imiona powinny przejść do historyi. A przyglądając się obecnemu stanowi duchowieństwa, czy to jego działaniu „społecznemu", czy poziomowi kaznodziejstwa czy rodzajowi duszpaster-

stwa na marginesie aktów synodalnych z XVI. i XVII. w. i materyałów źródłowych, mówiących o tem, jakim był stan duchowieństwa polskiego w owych czasach i jakie to miało następstwa, nie można nie podkreślić tych objawów, bo chodzi tu i o cześć stanu duchownego i o jego wpływ na społeczeństwo, choćby to miało wywołać nawet jakieś rekryminacye.

By utrzymać a raczej podnieść powagę stanu duchownego, musimy być szczerzy i nie możemy tolerować nadużyć jednostek bo tu chodzi o sprawę Kościoła i correctio fraterna musi znaleźć szerokie zastosowanie, a niejeden otrząśnie się z interesów, by zająć się kościołem i uczciwą, bezinteresowną pracą społeczną. Musimy nadto bezwarunkowo przestrzegać dyskrecyi stanowej. Bardzo rzadko słyszymy n. p., by jeden lekarz mówił o nadużyciach drugiego względem pacyentów, gdy tymczasem świeccy wiedzą bardzo wiele od księży o księżach: wszystko, co się dzieje na plebanii, staje się w niektórych miejscowościach przedmiotem „towarzyskiej" rozmowy, a nawet listy jednych do drugich dostają się do pism, stając się powodem najrozmaitszych komentarzy i zgorszenia. Wiemy, jakie gdzieniegdzie wytworzyły się stosunki między wikarym a proboszczem.

Musimy pamiętać i z tego wyciągnąć konsekwencye, że społeczeństwo, zdeprawowane przez wojnę, wykazało ogrom zepsucia, samolubstwa, wyzysku, zatraty sprawiedliwości i wstydu. Ludzi, którzy są wytrąceni z norm moralnych chrześcijaństwa, tak w sprawach jednostkowych, jak i publicznych, musimy nagiąć do dekalogu, do dwóch przykazań miłości i osobistym przykładem i celową pracą duszpasterską. Dla dementowania lub prostowania tego, co pisma podadzą, powinien powstać wszędzie tak, jak już w niektórych dyecezyach istnieje, „Komitet obrony czci kapłańskiej", któryby, przeglądając czasopisma i gazety, wynotowywał zarzuty stawiane duchowieństwu i donosił o tem interesowanemu, by on mógł na podstawie § 19 ust. pras. posłać sprostowanie lub inne w przeciwnym razie wyciągnąć konsekwencye. Mógłby także ten Komitet wstawić sobie i taki punkt do programu, by fakty, któreby mogły narobić krzyku, gdyby się dostały do prasy, wypomnieć winnemu. Logicznie z powyższych postulatów, stawianych Komitetowi obrony czci kapłańskiej, wypływa, że mogą do niego należeć księża, cieszący się poważaniem u ogółu duchowieństwa, nie należący do władz dyecezyalnych, dochowujący pod słowem kapłańskiem dyskrecyi. Najlepiejby było, gdyby taki zespół wyszedł z wyboru jakiej organizacyi księży n. p. „Unitas", która ma powstać w każdej dyecezyi.

Wszystko to, o czem powyżej była mowa, nie zdąża do zupełnej sanacyi stosunków, bo tu inne i bardzo liczne czynniki wchodzą w grę; sądzę tylko, że działalność takiego Komitetu może przysłużyć się sprawie czci i powagi stanu kapłańskiego.

Lwów. *X. Dr. Teofil Długosz.*

Dyscyplina w józefińskiem seminaryum generalnem obrz. łać. we Lwowie.

Dokończenie.

Pozostaje nam zapoznać się jeszcze z rozkładem czynności dziennych alumnów naszego seminaryum [1]). Mówimy o nim na tem miejscu, gdyż łączy się on ściśle z dyscypliną domową, owszem stanowi tejże część istotną. Ograniczamy się jedynie do zestawienia poszczególnych zajęć kleryckich, zastanawialiśmy się bowiem nad niemi już w poprzednich artykułach.

[1]) *Entwurf der Tagesordnung* (Entwurf zur Einrichtung der Generalseminarien, str. 77. n.).

Odpowiednio do trojakiego rodzaju dni w ciągu roku szkolnego — dni wykładowe, powszednie wolne od wykładów, niedziele i święta — obowiązywał naszych alumnów potrójny porządek dzienny. Przedstawiał się on następująco:

A. Dni wykładowe.

godz. 5 wstawanie,
$5^1/_2$—6 wspólne modlitwy, rozmyślanie,
6—$6^1/_2$ msza św.,
$6^1/_2$—$7^1/_2$ studyum prywatne,
$7^1/_2$—8 przygotowanie i wyjście na wykłady,
8—10 wykłady teologiczne,
10—12 powrót z wykładów, studyum prywatne,
12—1 obiad,
1—$1^3/_4$ rekreacya,
$1^3/_4$—2 przygotowanie do wykładów,
2—4 wykłady teologiczne,
4—6 studyum prywatne,
6—7 repetitorium,
7—$7^1/_2$ kolacya,
$7^1/_2$—$8^1/_2$ rekreacya,
$8^1/_2$—$8^3/_4$ wspólne modlitwy,
$8^3/_4$ spoczynek.

Za zezwoleniem rektora, o które należało się osobiście postarać, mogli alumni uczyć się po modlitwach wieczornych, najdłużej jednak do godziny 10. Obowiązkiem prefektów było czuwać, by tej godziny nie przekraczano.

B. Dni powszednie wolne od wykładów.

Do godzininy $6^1/_2$, t. j. do mszy św. włącznie, jak w dni wykładowe.
$6^1/_2$—8 studyum prywatne,
8—10 rekreacya,
10—12 examinatorium,
12—1 obiad,
1—4 względnie 5 rekreacya, względnie przechadzka,
4 (5)—7 studyum prywatne.
Następnie porządek dni wykładowych.

C. Niedziele i święta.

Do godz. 6 jak w dni wykładowe,
6—8 studyum prywatne,
8—$9^1/_2$ msza św. i kazanie w kościele,
$9^1/_2$—$11^1/_2$ studyum prywatne,
$11^1/_2$—12 czytanie duchowne.
Następuje porządek dnia wykładowego.
2—4 katecheza w kościele i błogosławieństwo.
4—6 studyum prywatne,
6—7 czytanie „książki ku zbudowaniu".
Dalej jak w dni wykładowe.

W ten sposób wyczerpaliśmy wszystkie postanowienia odnoszące się do dyscypliny domowej w naszem seminaryum generalnem.

W postanowieniach tych unikano — jak się sam autor przepisów wyraża — wszystkiego, cokolwiekby tchnęło klasztorem, a to z obawy, aby państwo „nie stwarzało sobie „*Monachos ante Monachos*", których się przecież tak obawiało. Sposób wychowania klasztornego wydawał się autorowi ustaw zbyt przygniatającym, by mógł być stosowany w seminaryach generalnych. „Przemocą hodowane rośliny dojrzewają wprawdzie rychło, ale równie prędko więdną, jeśli się je wystawi na wpływ świeżego powietrza", czytamy także i te słowa w ustępie dotyczącym przepisów dyscypliny.

Zdawaćby się więc mogło, że cechą charakterystyczną metody wychowawczej józefińskiej będzie wolność, swoboda. Tymczasem było zgoła przeciwnie. Bronił się system

józefiński przed „niewolą zakonną", ale wprowadził do seminaryum o wiele gorszą.

Ogólny rzut oka na postanowienia, odnoszące się do dyscypliny domowej, wystarczy, by dostrzedz, że dążyły one do tego, ażeby seminaryom nadać piętno żołnierskie. Nie zatem dziwnego, że tego rodzaju metoda wychowawcza przechodziła łatwo w pedanterye, która znowu rodziła w wychowankach zmęczenie i przesyt, a co za tem idzie, wywoływała skutki wprost przeciwne tym, które wywołać zamierzała.

Skutki te objawiały się najlepiej w obyczajności alumnów. O niej więc słów parę.

Pod względem obyczajności wychowanków możemy w lwowskiem seminaryum generalnem o. ł. rozróżnić dwa okresy. Pierwszy trwa do r. 1785, drugi do zwinięcia seminaryum t. j. do r. 1790. W pierwszym okresie ocena moralności wypadnie dodatnio, w drugim ujemnie.

Przyczyny tej dwoistości były następujące.

Pierwsi alumni seminaryum generalnego, to po większej części wychowankowie zniesionych seminaryów biskupich. Wstępując do seminaryum generalnego, przynosili ze sobą już pewien stopień wyrobienia duchownego, który dał się jeszcze u nich podtrzymać przy pracy rektora „starej daty" X. Szybickiego. I nie tylko podtrzymywano „starego ducha" w starszych alumnach, ale ten udzielił się i młodszym kolegom. Prawda, że system józefiński nie spał. Nowe prądy wciskały się do seminaryum. Nie weszły jednak odrazu. „Stara atmosfera" panowała jeszcze jakiś czas w zakładzie. Stąd i obyczajność była zadowalająca w pierwszych latach.

Na 43 alumnów — taką liczbę przyjęto do seminaryum do końca roku 1784 — sześciu otrzymało z obyczajów notę *exemplares*, trzynastu *optimi*, szesnastu *boni*, dwóch *mediocres*. Kilku, którzy dobrowolnie opuścili zakład, nie wpisano żadnej noty. Uderza i ta okoliczność, iż w tym czasie nie było ani jednego alumna, któregoby musiano wydalić za złe obyczaje. Usunięto w tym okresie trzech, ale z innych powodów; jednego dla ułomności fizycznej, zbyt krótkiego wzroku, dwóch zaś dla braku zdolności umysłowych.

Inaczej przedstawia się okres drugi.

„Stara atmosfera" ostygała w przyspieszonem tempie. Przewrotne zasady, głoszone przez profesorów na wykładach, wcale nie budujące przykłady, jakie własnem życiem dawali młodym klerykom niektórzy z profesorów, wpływ zaprzedanego zupełnie nowemu kierunkowi wicerektora a później rektora X. Ruziczki, moralna pewność, że lekkomyślne życie nie pociągnie za sobą wykluczenia ze seminaryum byleby postępy w nauce nie były najgorsze, ośmielały wychowanków do puszczenia wodzy lekkomyślności młodzieńczej. Nie mało przyczyniła się do rozluźnienia karności i ta okoliczność, że, w braku powołań kapłańskich, przyjmowano do seminaryum jednostki niepewne, a jak się później pokazywało, nawet złej woli. Wreszcie do czynników rozkładowych zaliczyć należy niestety wielu alumnów zakonników, zwłaszcza tych, którzy mieli już wyższe święcenia.

W r. 1785 — jak wiadomo — nakazał Józef II. przyjmować do seminaryów generalnych zakonników. Stosownie do woli cesarskiej różne zgromadzenia zakonne poczęły dostarczać swych członków i naszemu seminaryum.

Wychowywani dotychczas w klasztorach w niezbyt szczęśliwych warunkach, bo rozluźnienie reguł zakonnych było w tych czasach niemal powszechne, pogrążeni za furtą klasztorną w nieuctwie, zbytkach [1]), alumni-zakonnicy, wszedłszy do seminaryum generalnego, nie mogli się łatwo nałamać do żołnierskiej dyscypliny, jaką przepisy zakładowe na wychowanków nakładały. Z drugiej strony też same przeprzepisy, potępiając wychowanie zakonne jako zbyt tłumiące indywidualność ludzką, ośmielały ich do większej jeszcze swawoli nad tę, którą w klasztorach swych widzieli. Ciężko

[1]) Zob. X. Tarnawski „Kodeks Zamoyskiego", Lwów 1916, str. 90

oskarżał niektórych alumnów zakonników rektor Szybicki, zarzucając im, że „oddają się pijaństwu i innym niewłaściwościom". Ponieważ okazyi do tego dostarczały im stypendya mszalne, dla których zbierania, mimo wyraźnego zakazu wymykali się do różnych kościołów, przeto przedłożył rektor wniosek, by gubernium ze swej strony surowo im tego zabroniło, oraz aby wymogło na konsystorzu rozporządzenie, któreby proboszczom i przełożonym klasztorów zakazywało dopuszczania alumnów-kapłanów do ołtarzy [1]). Skala not z obyczajów jest u alumnów-zakonników aż nadto różnorodna. Na 28 mnichów zaledwie siedmiu otrzymało notę *optimi*, siedmiu *boni*, dwóch *mediocres*. Resztę skwalifikowano bardzo ujemnie. Ciekawe, że u tych ostatnich, niemal bez wyjątku, główną wadą, z której rodziły się inne przestępstwa, był w większej lub mniejszej mierze, pociąg do kieliszka.

Szczególną „sławę" w historyi lwowskiego seminaryum generalnego pozostawił po sobie znany nam już eks-Bernardyn X. Ignacy Turkiewicz.

Za ciasno widocznie było mu w murach seminaryckich, skoro często wymykał się po za te mury i dopiero nad ranem, po wesoło spędzonych nocach, wracał w nie. Wycieczki takie pociągały za sobą pewne koszta, a nie zbywało eksmnichowi na pieniądzach. By je uzyskać, jął się tak podłego środka, jakim jest szantaż. Sfingował list pod imieniem kanonika kapituły lwowskiej o. ł. X. Chrystofora Marchockiego, a równocześnie oskarżył go przed gubernium o jakoweś niedozwolone stosunki ze swoją krewną i zażądał za to od kanonika wynagrodzenia pieniężnego. Na wykrycie prawdy nie długo trzeba było czekać. Eks-Bernardyn postawiony przed oczy kanonika, od razu przyznał się do winy, odwołał oszczerstwo na piśmie i otrzymał, z polecenia gubernium, od rektora surową naganę z zagrożeniem wydalenia w razie niepoprawy tak pod względem nauki jak obyczajów. Gubernium zażądało nadto od rektora, by ten przedkładał w kancelaryi gubernialnej specyalnie o X. Turkiewiczu jak najczęstsze sprawozdania [2]).

Na jakiś czas przycichł eksmnich, nie na długo jednakowoż. Rektor, nie mogąc dać sobie z nim rady, domagał się od gubernium surowego ukarania niepoprawnego alumna i zasuspendowania go w czynnościach kapłańskich [3]). Gubernium nie powzięło żadnej decyzyi, lecz odesłało relacyę rektorską do Wiednia. Stąd nadeszło wkrótce pismo, w którem polecono rektorowi, by wszelkimi sposobami starał się sprowadzić X. Turkiewicza na dobrą drogę, a jemu samemu zagrożono aresztem w klasztorze [4]). Widocznie jednak nie bardzo strapił się tą groźbą eks-Bernardyn, skoro w parę tygodni miał odwagę wnieść przez gubernium prośbę do cesarza o zapomogę w kwocie 10 fl. na spłacenie długów, jakie pozaciągał. Podanie bezczelnego alumna poruszyło radców gubernialnych do żywego. Odrzucili je z dopiskiem, że jeśliby się jeszcze raz ważył na podobną prośbę, nie minie go areszt klasztorny. Na wszystkie te groźby odpowiedział X. Turkiewicz znaną nam już awanturą z dostawcą wiktu, po której umknął ze seminaryum za granicę, pozostawiając po sobie sporo długów tak na mieście jak między kolegami. Na wiadomość o tej ucieczce postanowiło gubernium, że na wypadek, gdyby X. Turkiewicz ważył się kiedyś wrócić do kraju, miał być z granic tegoż policyjnie wydalony [5]). Nie pozostało zatem rektorowi nic innego, jak w tabeli kwalifikacyjnej przy nazwisku eks-Bernardyna wpisać następującą ocenę: „najgorszych i niepoprawnych obyczajów, w studyach i zachowaniu przepisów domowych w najgorszym stopniu zaniedbujący się, często karany".

[1]) Arch. lwow. sem. duch. o. ł. Nr. 10, str. 137, Nr. aktu 185.

[2]) Tamże, Nr. 10, str. 50, Nr. aktu 91; Nr. 11, pismo gubern. z 1/3 1786.

[3]) Tamże, Nr. 10, str. 61, Nr. aktu 112.

[4]) Tamże, Nr. 11, 7/8 1786.

[5]) Tamże, Nr. 11, 9/3 1787.

Nie wiele odbiegło od X. Turkiewicza kilku innych zakonników, ale tych pomijamy. Niemiłą historyę X. Ignacego podaliśmy na przykład, aby można sobie wyrobić pojęcie o duchu w seminaryum józefińskiem, skoro taką jednostkę tak długo w niem tolerowano.

W korzystniejszem o wiele świetle przedstawia się statystyka not z obyczajów u alumnów świeckich w tym drugim okresie. Notę *optimi* otrzymało szesnastu, *boni* dwudziestu dwóch, *mediocres* sześciu, *mali*, *crudi*, *in multis emendandi* po jednemu. Dla złych obyczajów i lenistwa w nauce wydalono dwóch, dla braku zdolności umysłowych czterech.

Można przyjąć jako regułę twierdzenie, że w życiu duchownem u kapłana najurodzajniejsze były jego lata kleryckie. W tych latach postąpił on na wyżynę, nad którą już później się nie wzniósł, owszem z której jako kapłan już tylko zstępował. Są i wyjątki, ale te stwierdzają regułę.

Możemy sobie wyobrazić, jakimi musieli być ci kapłani „józefińscy", skoro jako alumni seminaryum generalnego byli już przesiąknięci na wskróś liberalizmem. Nie dziwno, że dyecezye miały kapłanów hołdujących „zbyt rozluźnionym zasadom moralnym", jak się na swoje duchochowieństwo uskarżał arcybiskup Ankwicz.

X. M. Tarnawski.

Listy z Janowa podlaskiego.

I.

„Pokornym pokłonem schylała się od lat dusza moja przed krwawą i świętą przeszłością Podlasia. Kościół i Ojczyzna nie ma chyba synów wytrwalszych w cierpieniu, podnioślejszych w ukochaniu Boga i Polski. W dniu święta Wolnej i Zjednoczonej, w dzień, kiedy skończą się nasze chwilowe, trwające jeszcze wszędzie trudy i boje, poprzysięgniemy wszyscy otoczyć męczeńską siostrzycę naszą wyjątkową opieką i wzmożoną nad nią czujnością serc".

Tak odpowiedział w styczniu b. r. Ignacy Paderewski na depeszę wysłaną do niego, jako do prezesa ministrów, przez Biskupa podlask., X. Dra Henryka Przeździeckiego.

I w tych kilku słowach streścił pierwszy obywatel wolnej Polski to, co każdy dobry Polak-katolik o Podlasiu myśli i czuje. Z takiemi uczuciami, ze łzą rozrzewnienia, stanąłem i ja 4. października b. r. na tej męczeńskiej ziemi mogił i krzyżów, wśród tego ludu, zubożonego strasznie przez 150 lat niewoli, ale nie złamanego na duchu, który kolejno doświadczył na sobie okrucieństw i gwałtów wszystkich trzech zaborców Polski, najpotężniejszych mocarzy świata, a jednak ich szczęśliwie przetrzymał i przeżył...

Na tem Podlasiu połamała sobie kły wszechwładna niegdyś Rosya carska, nie mogąc wytępić katolicyzmu, na tem Podlasiu poderwały sobie nogi także i „niezwyciężone" Niemcy i sprzymierzone z niemi państwa centralne, bo traktat brzeski, odkrawający Podlasie dla sztucznie tworzonej Ukrainy — stał się ich Sedanem, początkiem ich końca...

Warto więc poznać bliżej to męczeńskie Podlasie, a zwłaszcza tę stosunkowo tak młodą dyecezyę podlaską z Janowem biskupim jako stolicą, która tyle wycierpiała za wiarę i ojczyznę, że słusznie zyskała nazwę „*dioecesis martyrum*".

Janów podlaski, zwany także siedleckim, a niegdyś biskupim, dziś mała i uboga mieścina, ma swą przeszłość bogatą w wypadki, jak mało która miejscowość w Polsce.

W piętnastym wieku podniesiony ze wsi do godności miasta staraniem biskupa łucko brzeskiego Jana Łosowicza, otrzymał od niego swą nazwę i przez 400 lat był siedzibą biskupów łucko-brzeskich, posiadających w pobliżu jego aż 3 klucze z pośród 4 kluczów swych rozległych dóbr biskupich. Tu odbywały się kilkakrotnie synody dyecezyalne, tu odbywali niektórzy z biskupów nawet i ingres uroczysty do katedry, tu kilku z nich spoczęło w podziemiach katedralnego kościoła.

W Janowie mieli biskupi łucko-brzescy wspaniałą rezydencyę, pałac, zwany zamkiem, niegdyś obronny, w cienistym parku, otoczony po dziśdzień głęboką fosą, przez którą przepływa woda nie wielkiej sąsiedniej rzeczułki Krzywki. Zamek ten pierwotnie drewniany, z czterema basztami, został spalony przez Szwedów. Na jego miejscu wybudował biskup Turski nowy, murowany, obszerny i okazały, który po dziśdzień istnieje. Przez 100 lat był w rękach rosyjskich i służył za mieszkanie dla wielkorządcy stadniny koni rządowych. Obecnie z wielkim trudem odebrany z rąk władz polskich przez X. biskupa Przezdzieckiego, odrestaurowany, stał się znów rezydencyą biskupią, zgodnie ze swym początkiem i przeznaczeniem.

W r. 1657, w maju, był Janów świadkiem głośnego w Polsce męczeństwa błog. Andrzeja Boboli T. J., którego dziwne proroctwo o zmartwychstaniu Polski tak cudownie spełniło się za dni naszych. Tego świętego starca-misyonarza, już straszliwie wprzód skatowanego i zranionego, przywlokła rozjuszona tłuszcza schizmatycka do Janowa i tu zadała mu śmierć wśród najwyszukańszych katuszy. Ciało Męczennika wyrzucono za miasto; wierni ze czcią złożyli je w osobnym grobie w kościele pińskim [1]).

Była to jakby zapowiedź strasznych gwałtów schizmatyckich, jakich miał być Janów świadkiem w 19 wieku.

Po kongresie wiedeńskim nastąpił nowy podział Królestwa polskiego na dyecezye; w r. 1818 utworzono dyecezyę podlaską, a pierwszym jej biskupem był X. Feliks Lewiński. Ale biskupom podlaskim nie długo danem było zażywać spokoju. Drugi z nich X. Jan Marceli Gutkowski i trzeci X. Benjamin Szymański, kapucyn, po całym szeregu niesłychanych szykan i tortur moralnych, padli ofiarą barbarzyństwa moskiewskiego: zostali kolejno wywiezieni cichaczem z Janowa; pierwszy r. 1840 do Ozieran, skąd uszedł do Lwowa i tam umarł po 22 latach wygnania, drugi w r. 1867 do Łomży do klasztoru kapucyńskiego, gdzie już w następnym roku życia świątobliwego dokonał.

Na nic się nie przydało, że obaj ci biskupi w czasie powstań przypadających na ich rządy, okazali daleko idącą ostrożność i wstrzemięźliwość, zwłaszcza Gutkowski. Rząd rosyjski działał według z góry ułożonego planu: postanowił skasować dyecezyę podlaską i gwałtem zdusić katolicyzm na Podlasiu, aby na jego miejsce, urągając wszelkim prawom, narzucić wstrętną schizmę.

X. Mateusz Jeż.

Z nowego kodeksu.

Czy nowy kodeks prawa kanonicznego pozwala księżom nosić brodę?

Kwestyę tę, która niewątpliwie zainteresuje ogół duchowieństwa, poruszyło już kilku prawników niemieckich. Kanon 136 nowego kodeksu, w którym jest mowa o ubiorze, jaki mają nosić członkowie kleru, nie wspomina nic o brodzie i wąsach, tylko w ogólności o włosach: „*capillorum simplicem cultum adhibeant*", kiedy dotychczas nauczano powszechnie w prawie kościelnem: „clericus neque comam nutriat *neque barbam*". Musiało to zwrócić uwagę prawników; dowiadujemy się też z art. X. Bremera S. I., zamieszczonego w II. zesz. „Theol.-prakt. Quartalschr." (str. 224 nn z r. b., z którego tu korzystamy), że jednego z biskupów uderzyła ta zmiana przepisu, kiedy w r. 1912 czytał przysłany mu do przeglądnięcia projekt nowego kodeksu i dlatego zapytał w swoim dopisku do kan. 136, czy odtąd noszenie brody nie ma już być klerowi zakazane? Na to nie otrzymał odpowiedzi, a tekst kanonu pozostał w tym punkcie nie zmieniony: z czego można wnosić,

[1] Por. Janów biskupi czyli podlaski. Napisał X. J. K. (X. prałat Pruszkowski). Kraków 1897.

jak sądzą niektórzy, według zasady: *„Qui tacet, consentire videtur"*, że zakaz, o którym mowa, jest zniesiony.

Takie zdanie wypowiedają prof. dr. Göller („Eherecht im neuen kirchl. Gesetzbuche" str. 23), prof. dr. Hilling („Archiv für kath. Kirchenrecht" 1918, str. 300 n.), dr. Aug. Hofmann („Theol. Monatschrift" 1918, str. 81 n.), dziekan dr. Ott („Pastor bonus" 1918, str. 170 n.), i prałat dr. M. Leitner („Handb. des kath. Kirchenrechtes", 2 te Lieferung, 1918, str. 241 n.)[1]

Przeciwnego zaś zdania są profesorowie dr. Scharnagl („Das neue kirchl. Gesetzbuch" str. 38) i dr. Susen („Kölner Pastoralblatt", 1918, s. 87), którzy twierdzą, że golenie brody polega w Kościele zachodnim na p r a w i e z w y c z a j o w e m i że prawo to pozostało w mocy, bo nowy kodeks nie daje żadnej podstawy do znoszenia praw zwyczajowych, które nie sprzeciwiają się jego postanowieniom, a właśnie o takie prawo chodzi w tym wypadku.

Ale na to odpowiada Bremer, broniąc swego zapatrywania, że 1-sze kodeks mówi tylko o włosach (capilli), nie odróżniając zarostu twarzy od włosów na wierzchu głowy, więc nie zakazuje zapuszczania brody, tylko zbyt starannego, wyszukanego jej pielęgnowania, tak samo, jak noszenia włosów zbyt długich i fryzowania głowy, — bo „ubi lex non distinguit, n e c n o s distinguere debemus".

2 ge. Wyraz „capillus" oznacza wszelkie włosy na głowie, czyli także zarost na twarzy.

3-e kan. 6 (w p., 6-ym) mówi o w s z y s t k i c h prawach dotychczasowych, a więc zarówno spisanych, jak i zwyczajowych: „Si qua ex ceteris disciplinaribus legibus, quae usque adhuc viguerunt, nec explicite nec implicite in Codice contineatur, ea vim omnem amisisse dicenda est, nisi in probatis liturgicis legibus reperiatur, aut lex sit iuris divini sive positivi sive naturalis". Do praw zwyczajowych należało i to, które zabraniało księżom noszenia brody, a którego nie wciągnięto do nowego kodeksu, więc i ono przestało obowiązywać.

W każdym razie nie byłoby to żadną nowością w Kościele zachodnim, bo — jak wiadomo — noszenie brody było dozwolone w pierwszych wiekach, a konstytucya Leona X. „Supernae dispositionis" z 5 maja 1514 zabroniła w słowach: „clerici non comam n e q u e b a r b a m n u t r i a n t" tylko d ł u g i e j brody, a pozwoliła na krótką, jaką widzimy na wizerunkach Świętych z w. 16 i 17: Piusa V. Franciszka Sal. Ignacego Lojoli, Franciszka Ksaw., Piotra Kanizyusza i innych. Wiadomo też, że oprócz Kapucynów i misyonarzy, udających się na wschód, noszą wąsy biskupi i inni księża w Albanii.

Ponieważ jednak niema w tym względzie zgody między prawnikami, trzeba będzie poprosić jeszcze o autorytatywne rozstrzygnięcie kwestyi, zanim Władze dyecezyalne ogłoszą to pozwolenie. *X. P.*

„Ziemia niech mu będzie lekką!"

Dziwię się nieraz, jak mogły w Polsce, w kraju od tak dawna katolickim, przechować się niektóre z gruntu pogańskie zwroty językowe? Wiem, że wypowiada się je z przyzwyczajenia tylko, bezmyślnie, nie zwracając uwagi na ich treść. Ta bezmyślność sprawia, że zwroty te nie rażą nawet katolickich uszu. Bardzo rozpowszechnionym tego rodzaju frazesem jest życzenie zasyłane zmarłemu chrześcijaninowi: „ziemia niech mu będzie lekką!" Temi słowami kończą najchętniej mowcy świeccy, nawet katolicy, swoje przemówienia nad grobem wobec katolickich słuchaczy, a ci nie gorszą się, czy to z powodu bezmyślności, czy z powodu słabej znajomości prawd religii, czy też może umieją przez karkołomne naciągania nadać temu zwrotowi jakieś chrześcijańskie znaczenie, w co jednak trudno uwierzyć[1].

[1] Cyt. przez X. Bremera l. c.

[1] Rzymianie starożytni wierzyli, że dusze zmarłych mogą jeszcze odczuwać ciśnienie ziemi, zwłoki ich przykrywającej, u nich więc miał ten frazes swoje znaczenie. — Dop. red.

Nadto słów tych nigdy prawie nie brak w nekrologach nawet umieszczanych w katolickich i starannie redagowanych czasopismach. Świeżo n. p. w nrze. 208 „G ł o s u N a r o d u" z dnia 4. września 1919 r. na str. 2 w nekrologu ś. p. Stanisława Estkowskiego czytamy: „niechaj więc ziemia ojczysta, w której obronie poświęcił swe młode życie, lekką mu będzie".

Słowa te można brać albo jako frazes bez treści, albo jako na seryo traktowane, z serca płynące życzenie dla zmarłego. Jeżeli przyjmiemy pierwszy wypadek, to przecież krzywdę się wyrządza bohaterowi, który poświęcił swe życie w obronie ziemi ojczystej, umieszczając w jego nekrologu frazesy. Jeżeli zaś to ma być szczere życzenie, śmiało je można nazwać niedorzecznem. Ziemia przecież duszy zmarłego nie przygniecie. Gdyby zaś chodziło o zabezpieczenie ciała przed zbytnim ciężarem ziemi, możnaby to zrobić, wybierając n. p. na cmentarze miejsca o „glebie lekkiej" (piasek), albo przysypując ciała cienką tylko warstwą, albo ochraniając je mocnemi trumnami, lub specyalnem rusztowaniem. Gdy zaś chodzi o takich zmarłych, którzy zasłużyli sobie na nekrologi w gazetach, społeczeństwo nie omieszkałoby użyć tych naturalnych środków uczynienia im ziemi „lekką" i nie poprzestałoby tylko na gołosłownem życzeniu, które przecie każdy grabarz mógłby spełnić z łatwością. *X. Michał Białowąs.*

Na odpuście w Łohiszynie (Podlesie).

Zaproszony przez młodego Proboszcza X. Jerzego Szackiego do Łohiszyna, wybrałem się na uroczystość Narodzenia Matki Boskiej, aby pomódz na odpuście w pracy kapłańskiej. Niełatwo tu o drugiego kapłana na odpust, to też proboszcz sam ugina się pod ciężarem pracy duszpasterskiej, zwłaszcza jeśli pogoda sprzyja i większa liczba pobożnych Poleszuków do parafii zawita.

W prześliczny dzień jesienny wyjechałem z Pińska w stronę północną do Łohiszyna, oddalonego o 28 wiorst od tego miasta. Droga szeroka, piaszczysta, usypana gdzieniegdzie wśród błot, wiedzie przez wsie Stawek, Podchacie i Podbołocie aż do rzeki Prypeci. Wsie Podchacie i Podbołocie zniszczone zupełnie. Ludność, która wróciła w te strony, mieszka w „ziemiankach", zbudowanych jeszcze przez Niemców, w czasie walk z rosyjską armią. Przeprawa przez Prypeć niełatwa. Mosty poniszczone, trzeba było przez wąską kładkę przeprawić konie, a potem wóz przeciągnąć. Po trudnej przeprawie przez cztery kołyszące się mostki, wjechałem w szeroką aleję lasu łohiszyńskiego.

Już zdala widne wieże kościoła polskiego i cerkwi schyzmatyckiej zwiastowały kres mojej podróży. Niebawem stanąłem przed plebanią, zbudowaną już w czasie wojny, tuż na skraju miasteczka. Plebania duża, piękna, jest najładniejszym domem w Łohiszynie. Miasteczko to wiele ucierpiało w czasie obecnej wojny, a niektóre ulice zupełnie spalone.

Niegdyś obszerne dobra Łohiszyn należały do ks. Radziwiłłów, Ogińskich, później do Łubieńskich. W r. 1863 skonfiskował je rząd i oddał urzędnikowi Tokarewowi. Kościół łohiszyński postawił w r. 1634 Stanisław Albrecht książę Radziwiłł. Miał ten kościół cudowny obraz Matki Boskiej. W r. 1863 było w Łohiszynie 3256 parafian, pracowało tu dwóch księży. Ostatnim proboszczem był X. Cypryan Syrpowicz, lecz w r. 1865 rząd zabrał kościół na cerkiew, chcąc w ten sposób katolików przeciągnąć na prawosławie. Wraz z kościołem i cudowny obraz Matki Boskiej przeszedł w ręce schyzmatyckie, a dziś, choć cerkiew zamknięta, choć popa schyzmatyckiego niema, prawosławni wykradli obraz i przechowują go prawdopodobnie gdzieś w okolicy.

Długo był Łohiszyn pozbawiony opieki duchownej, ale lud wierny nie tracił nadziei, że przyjdą znów lepsze czasy; kołatano ciągle u władz, by kościół zwrócono. Te ciężkie czasy prześladowania wytworzyły nowy typ sług Bożych, którzy poświęcili całe swe życie sprawie Bożej. Byli to tak zwani „chodaki".

Nie opuszczali oni żadnej okazyi, by zjawić się ze swym protestem i prośbą.

Opowiadają starzy, jak w tych czasach prześladowania jacyś misyonarze przedostawali się z Krakowa w te strony i w chatach na końcu wioski odprawiali Mszę św., udzielali chrztu i błogosławili związki małżeńskie. Byli i tacy pomiędzy tutejszym ludem, którzy chrzcili z wody niemowlęta, grzebali nocami umarłych, stawali jako świadkowie przed nowożeńcami, by od nich odebrać przyrzeczenie małżeńskie, bo księdzu katolickiemu zabroniono dojeżdżać do Łohiszyna, jak również mieszkańcom Łohiszyna zabroniono wyjeżdżać do Pińska do proboszcza miejscowego.

Nie ustawali biedacy w swoich prośbach i oto nareszcie otrzymali pozwolenie na budowę kościoła.

W r. 1910 ukończono budowę świątyni a tegoż roku 30. października objął zarząd parafii pierwszy proboszcz X. Franciszek Grabowski, ale niestety usunięto go już 13. stycznia 1913 roku i lud nie mógł wyprosić jego powrotu.

Dopiero w czasie wojny przybył jako proboszcz X. Szacki i dotąd tu pozostaje.

Parafię pięknie zorganizował. Młodzież śpiewa Mszę po łacinie chóralnie, procesya prowadzona wzorowo. Nowy proboszcz zabrał się już także do budowy polskiej szkoły i ochronki. Już w czasie wojny młoda nauczycielka we wsi pracowała nad młodzieżą, która chętnie gromadziła się, by czerpać ze skarbnicy wiedzy. Pięć lat tej cichej pracy w chacie wieśniaczej zrobiło wiele wśród młodego pokolenia Łohiszyna. Dziatwa przeczytała całą trylogię Sienkiewicza, mówi po polsku poprawnie, śpiewa polskie pieśni.

W ostatnim roku szkolnym pobierało naukę 250 dzieci. Dowodzi to, że ducha ludu katolickiego w tych stronach nie złamał carat i jego czynownicy.

X. Pilin, proboszcz dywizyi.

Związek zawodowy Organistów pod wezwaniem św. Cecylii.

W obszernych ramach piekącej kwestyi społecznej oddawna czeka rozwiązania i sprawa organistowska. Dziś, kiedy w zmartwychwstałej Ojczyźnie, w każdej dziedzinie życia budzi się ruch ku odrodzeniu, — nic dziwnego, że i sprawa organistowska tę dążność objawia. Objawem tej dążności był walny zjazd organistów ze wszystkich ziem Polski, dnia 29. kwietnia br., w Warszawie, który ma być kolebką nowych programów, nowej pracy i nowych wartości przyszłego życia organistów[1]). Owocem tego zjazdu jest założenie „Związku zawodowego organistów pod wezwaniem Św. Cecylii" z siedzibą w Warszawie, oraz wydawnictwo „Przeglądu Cecyliańskiego, pisma poświęconego muzyce kościelnej, kółkom śpiewaczym, nauczycielom śpiewu w szkołach i sprawom organistowskim". Przegląd ten, pod redakcyą X. H. Nowackiego, w 1. numerze podaje Statut tegoż Związku, Regulamin pracy organistów i cennik należytości. Każdy z duszpasterzy z radością powita tę organizacyę, poczętą z czystego źródła po myśli Kościoła. Lecz jak każda ludzka rzecz, tak i ta nie jest bez „ale". Są to dopiero projekty, nadające się do dyskusyi, sądzę więc, że duszpasterze, w tej sprawie; żywo interesowani, mają prawo głos zabrać. Z tego tytułu i ja, nie siląc się zresztą na wszechstronną i gruntowną krytykę wszystkich paragrafów statutu i regulaminu, chcę zwrócić uwagę na niektóre w nich rażące szczegóły, aby wywołać dyskusyę. Statut i Regulamin podkreśla godność i wzniosłe stanowisko organisty w Kościele i społeczeństwie; do tego zaś dostrajają się paragrafy statutu i regulaminu i cennika. Czy niema jednak w tem za wiele przesady? — Obaczmy!

Oprócz zawodowej pracy organisty, określonej szczegółowo w §. 6. Regul. podaje §. 10. Reg. między dozwolonymi obowiązkami ubocznymi spełnianie „de facto" obowiązków „sekretarze kancelaryi urzędnika stanu cywilnego" oraz nauczanie śpiewu w szkołach i ochronkach.

„Wszelkie inne obowiązki — brzmi Regulamin — nie należą do właściwego zakresu zawodowego organisty i **pod żadnym pozorem nie mogą mu być narzucone**, a **tam**, gdzie podobne **obniżenie poziomu** zawodowego organisty — jest samowolnie praktykowane, **musi być nadal zaniechane**. Żaden kaplan, **szanujący w organiście godność ludzką i zawodową**, nie będzie tolerował ubocznych zajęć organisty za wyjątkiem przewidzianych w niniejszym regulaminie i pracy społecznej w myśl programu Związku".

„Wyłuszczone wyżej obowiązki .. w zupełności **zapełnią prawem przewidziane godziny pracy**, natomiast w godzinach wolnych od zajęć po za obowiązkami rodzinnymi organista potrzebuje pracować nad pogłębianiem wiedzy muzycznej, uczyć śpiewów choralnych i ludowych oraz uczestniczyć niekiedy w pracach społecznych".

Te tak surowe zastrzeżenia Regulaminu mogłyby mieć zastosowanie tylko w większych miastach, gdzie „wyłuszczone wyżej obowiązki zapełnią (rzeczywiście) przewidziane we godziny pracy". W małych jednak miasteczkach i wioskach „wyłuszczone wyżej obowiązki" zapełnią małą tylko cząstkę dni, tak, że nawet po za obowiązkami rodzinnymi, nauczaniem śpiewu, pogłębianiem wiedzy fachowej i pracy społecznej, w każdym miesiącu a nawet tygodniu pozostanie organiście wiele dni, po odprawionych rannych nabożeństwach wolnych od **dozwolonych** zajęć. Dlatego nie sądziłbym, żeby inne zajęcia uboczne, praktyczne, choćby i lekkie rzemiosło, miało być „obniżeniem poziomu zawodowego organisty", albo ubliżać jego „godności ludzkiej i zawodowej". Owszem sądzę, że byłoby pożądanem, aby organista, zwłaszcza po mniejszych miasteczkach i wioskach (a takich jest znaczna większość), obok zawodowego zajęcia miał jeszcze uboczne, któreby go chroniło od próżnowania, tego znanego źródła wszelkich występków, uwłaczających w rzeczywistości w wysokim stopniu jego „godności ludzkiej i zawodowej", a z drugiej strony uzupełniało środki utrzymania, gdyż jego praca zawodowa nie stoi w żadnym stosunku do pensyi, któraby wystarczała na całkowite utrzymanie.

To zdrowe stanowisko zajęła **Szkoła organistowska XX. Salezyanów** w Przemyślu, założona r. 1916 i polecona przez Najprz. XX. Biskupów, — umieszczając w swoim programie obok wykształcenia zawodowego także wykształcenie w kierunku praktycznym wedle wyboru; 1. ogrodnictwa z sadownictwem i pszczelnictwem; 2) buchalteryi i rachunkowości, któraby im dała możność objęcia posad przy kasach Raifeisena, kółkach rolniczych, sklepach itd. i pisarstwa gminnego; 3) krawiectwa, według programu szkół zatwierdzonych przez władze rządowe". Bo też celem tej szkoły jest obok głównego celu dać organistom — „możność odpowiedniego do swego stanu utrzymania".

To jest mojem zdaniem sposób **jedyny rozwiązania problemu organistowskiego**.

Przejdźmy do strony materyalnej.

Bardzo wygórowane są żądania co do mieszkania, pensyi oraz poborów kościelnych. „Mieszkanie organisty składać się powinno w miarę możności: dla kl. III. z dwóch pokoi i kuchni; dla kl., II. z trzech pokoi i kuchni; dla kl. I. z czterech pokoi i kuchni — bez względu na to, czy organista jest kawalerem czy żonatym". Takiego mieszkania (zwłaszcza I. i II. kl.) niejeden nawet proboszcz nie posiada. — a dla wikarych, umieszczanych nieraz w organistówkach lub szpitalach dla ubogich, przechodzi ono nawet wszelkie „pium desiderium". Do tego dodać należy 3 lub 5 morgów pola.

Na wynagradzanie organistów składają się według Regul. i cennika: 1. Stała pensya miesięczna; 2. część z dochodów kościelnych (jura stolae); 3. Część stypendyów mszalnych; 4. dochód z kancelaryi; 5. osobne wynagrodzenie za t. zw. komisy choralne.

[1]) „Przegląd Cecyliański". R. i. Nr. 1 Warszawa.

Ad 1) Przy nadaniu gruntów przy kościolach I. kl. 800 złp. miesięcz.
II. kl. 600 „
III. kl. 400 „

Bez nadania gruntów pensya miesięczna o 200 złp. wyższa. Za co tak wysoka pensya? Zdaje się, że za samą „wysoką godność“ organisty, gdyż za wszystkie prawie czynności otrzymuje osobne wynagrodzenie, jak to dalsze źródła dochodów wskazują:

Ad 2) Z dochodów kościelnych przy kościołach I. kl. $1/5$ część
„ II. kl. $1/4$ „
„ III. kl. $1/8$ „

i to „z pełnej sumy wpływu, t. zn., że po oddzieleniu z ogólnej sumy wpływów części dla organisty — pozostała suma jest dysponowana do podziału księży. Zobaczmy na przykładzie, jak wypadnie ów podział w praktyce. Weźmy dochód 60 kor. Organista $1/8$ część = 20 kor., kościelny (bo i jemu się należy) $1/6$ część 10 kor., X. wikary $1/2$ = 30 kor. Proboszcz = 0.

Gdyby się zaś księża chcieli podzielić „po chrześcijańsku“, tj. po 15 kor., toby obaj mniej dostali niż organista. A gdyby proboszcz, wyższy godnością od wikarego, pozostawił sobie 20 kor. oddając wikaremu 10 kor., to proboszcz dorównałby godności organisty, wikary zaś miałby niższą godność od tegoż.

Ad 3) Ze stypendyów mszalnych granych i śpiewanych (nawet z pogrzebów i tak płatnych) $1/5$ część za granie podczas Mszy św. osobie duchownej, nie urzędującej przy danym kościele, w czasie prymaryi 5 złp., w czasie późniejszym 3 złp., po godzinie 10 tej 5 złp.“ Pytanie, czy też nieraz całe stypendyum na tę opłatę wystarczy?

Ad 4) Za czynność sekretarza kancelaryi, jako urzędn ka stanu cywilnego, połowę wszystkich wpływów na rzecz kancelaryi. Nieznana u nas a tak w tytule szumna godność oznacza po prostu pomocnika w kancelaryi parafialnej, który w przeważnej części parafii jest całkiem niepotrzebny.

Ad 5) Wynagrodzenie za tzw. komisy chóralne jest nadzwyczajne i wyjątkowe.

Gdy się zbierze te wszystkie pobory wraz ze stałą pensyą, to pokaże się, że posada organisty — to istna a bardzo intratna synekura. Jakie też w odpowiednim stosunku powinno być uposażenie XX. wikarych, proboszczów, kanoników, biskupów, nie mówiąc już o wysokich dygnitarzach świeckich? Gdzie skarby na takie pensye wobec 10 miliardów długu? Bo chyba gminy tego ciężaru na siebie nie wezmą, obarczone już obowiązkiem dostarczenia organiście mieszkania w naturze, wszelkiego remontu wewnętrznego i zewnętrznego, ogrodzenia, budynków gospodarczych i co 3 lata reperacyą mieszkania.

W tej konsekwencyi nie dziwi już §. 9. Regul. zwalniający organistę od obowiązku asystowania księżom przy wizytacyach kolendowych. Uhliżałoby to snać godności organistowskiej, — kapłańskiej zaś nie! Czyżby nawet pieczenie opłatków na potrzeby kościelne, wykluczone z obowiązków organisty, było ujmą dla tej godności?

A teraz kwestya zawodowej kwalifikacyi.

Regulamin odróżnia pod tym względem trzy klasy organistów: I. kl. organiści z wyższem wykształceniem zawodowem, II. kl. ze średniem, III. z dostatecznem przygotowaniem do objęcia posady. To bliżej nie określone „dostateczne“ przygotowanie wyobrażam sobie w ten sposób, że organista umie grać z nut i śpiewać poprawnie.

Jakiż zaś jest w rzeczywistości stan organistów pod względem zawodowej kwalifikacji? Podzieliłbym ich także na 3 klasy: I. kl. organiści zdolni i zamiłowani, grający i śpiewający biegle z nut miłym głosem; II. kl. organiści, umiejący wprawdzie grać i śpiewać z nut, lecz nie biegle; III. kl. organiści, nie umiejący wcale grać ani śpiewać z nut, bo i tacy się znajdują, choć może mniej liczni. Pierwsi mają ukończoną szkołę organistowską z dobrym postępem, drudzy z dostatecznym postępem lub tylko jakiś krótki kurs, trzeci zwykle nie posiadają ani jednego ani drugiego — są to samouki.

Jakież stanowisko zajmuje Regulamin wobec różnych stopni kwalifikacyi? Organiści, którzy do końca 1919 r., nie ukończyli lat 30 i świadectw naukowych nie posiadają, a posady zajmują, podlegają egzaminom przed komisyą Związku; ci zaś, którzy do końca 1919 r. ukończyli lat 30, są zwolnieni od egzaminów, będą tylko brali udział w uzupełniających kursach zawodowych. Co do pierwszych, sądzę, że minimum wymagań przy tych egzaminach powinno być: znajomość zasad harmonii, poprawna gra i śpiew z nut. Co do drugich, zachodzi obawa, że będę tolerowane na posadach bardzo mierne siły, bo „czego się Jaś nie nauczył, tego się i Jan nie nauczy“.

Osądzając tak surowo kwalifikacye zawodowe organistów, nie jestem jednak za tem, aby mniej odpowiednich pousuwać z posad i pozbawiać ich jakich takich dochodów, lecz tacy niechaj nie mają pretensyi do **pełnego** wyposażenia w myśl Regulaminu, jeżeli nawet uzupełniający kurs nie potrafi dać im minimum fachowej wiedzy.

Rzeczą będzie Związku przeprowadzać dokładnie egzamina, badać kwalifikacye, urządzać kursa uzupełniające, a przez to podnosić poziom fachowej wiedzy organistowskiej; przez zakładanie zaś i prowadzenie **stałych szkół organistowskich** wyrabiać zwolna dzielne i zdolne fachowe siły, bo tylko wtedy przy nieodłącznych przymiotach moralnych — zawód organistowski stanie na wysokości swego zadania i będzie „zdolny w czasie nabożeństwa odpowiednią muzyką zmobilizować rozprószone uczucia ludzkie i zmusić je do szukania Boga w modlitwie“; będzie „mocen wykrzesać najświętsze pragnienia, obudzić ospałość duszy, zapalić obojętne serca, wzruszyć je skruchą, i wiarą przenieść w zaświaty“[2]).

Dla jaśniejszego oświetlenia mego punktu widzenia, aby nie być źle zrozumianym, reasumuję krótko moje wywody:

Zawód organistowski, jak każdy inny, **ma prawo dążyć do polepszenia bytu, nawet do stałej pensyi miesięcznej**; nie w tej jednak wysokości, projektowanej w Regulaminie i cenniku, lecz stosownie do stopnia fachowego wykształcenia i miary zawodowej pracy.

Praca jednak zawodowa, zwłaszcza w małych miasteczkach i wioskach, jest tak mała, że nie stoi w żadnym stosunku do pensyi, którąby wystarczała do całkowitego utrzymania. Konieczne są tedy uboczne zajęcia lekkie tak do uzupełnienia nie wystarczającej pensyi i poborów zawodowych, jak do pożytecznego zapełnienia wielu godzin wolnych poza zawodowem zajęciem.

Do stałej pensyi miesięcznej i poborów w myśl **zmodyfikowanego** Regulaminu mają prawo organiści, posiadający minimum zdolności fachowej, polegającej na poprawnej grze i śpiewie z nut. lub ci, którzy przez odpowiednie kursa i wytrwałe ćwiczenia to minimum zdobyć potrafią.

Słusznie żąda Statut i Regulamin od organisty — by był wolny od zarzutów natury moralnej i nie należał do organizacyi lub stronnictw wrogich Kościołowi katolickiemu.

Skrzyszów, dnia 18. października 1919 r.

X. Jan Pabis
proboszcz.

KRONIKA.

Z kroniki Bursztyna w czasie odwrotu wojsk ukraińskich w maju b. r. Siedmiomiesięczne rządy ukraińskie, tj. od 2-go listopada 1918. do końca maja b. r. w Bursztynie, miasteczku o 5000-ej ludności odległem o 2 mile od Halicza, krępowały niezmiernie wszelką działalność narodową, grożąc za byle drobnostkę więzieniem, lub delikatniej brzmiącem „internowaniem“. Lecz najsroższe chwile przeżywali tutejsi Polacy w maju b. r., w czasie odwrotu rozbitych przez naszą armię i na całej linii cofających się oddziałów ukraińskich, które napadały zwłaszcza na polskie domy celem rabunków. Mężczyźni—Polacy z inteligencyi

[2]) Przegląd Cecyliański.

musieli przez kilka dni chować się po strychach i różnych zaułkach, by uniknąć wywiezienia na wschód. W tym to czasie, tj. 26 maja zrana, w parku księcia Jabłonowskiego, Ukraińcy rozstrzelali czterech Polaków z Żurowa*) i to nawet bez badań sądowych i nie pozwoliwszy im na odprawienie spowiedzi, — jedynie za to, że bronili się przeciwko rabunkom luźnie wałęsających się band ukraińskich. Gdy po paru dniach weszli do miasta Polacy, wyjęto z ziemi zwłoki niewinnych ofiar i za inicyatywą X. kapelana Ostachowicza i miejscowego proboszcza, urządzono przy udziale licznie zgromadzonej ludności wspaniały pogrzeb. Kondukt z parku do kościoła prowadził wspomniany kapelan i przemówił nad otwartą mogiłą; w kościele odprawiono egzekwie, poczem odprowadzono zwłoki za miasto w stronę klasztoru SS. Miłosierdzia. Zwłoki powieziono do Żurowa, gdzie miejscowy X. administrator odprawił drugą część pogrzebu, pochowawszy ciała rozstrzelanych jako swych parafian na tamtejszym cmentarzu.

Gdy dnia 27/5 zbliżyła się do nas linia bojowa, wówczas nieprzyjaciel, wycofawszy się z miasta na wschód za rzekę Gniłą Lipę, ustawił swe działa na pagórku odległym o 10 klm. pod wsią Kurowem i skierował je ku Bursztynowi. Ponieważ polska artylerya nie mogła wkroczyć do miasta zaraz za oswabadzającą nas piechotą, z powodu błotnistej drogi, przeto wróg korzystał z tej okoliczności i począł gwałtownym ogniem ostrzeliwać opuszczone przez się miasto. Przez dwa dni, z małemi przerwami, grad kul jak huragan przelatywał nad głowami niewinnych mieszkańców, kryjących się w piwnicach. Przez te ciężkie do przeżycia dwa dni miało paść około 250 pocisków armatnich na miasto, nie mówiąc już o liczniejszych kulach karabinowych. Przeważnie ostrzeliwane były domy polskie, a przedewszystkiem całkiem niewinny kościół parafialny stał się celem kul ukraińskich. Przez długie lata z głębokim smutkiem wspominać będą tutejsi Polacy lęk wzbudzające chwile przedpołudniowe w dniu 28 maja b. r., gdy wraże pociski pękały nad przybytkiem Pańskim i biły w plebanię przejmując parafian zgrozą, tem większą, że tak czynili nasi „bracia", wyznawcy tej samej religii, a nadto połączeni z wieloma z nas węzłami pokrewieństwa.

Lecz większa moc Boża od zawziętości wrogów. Za prawdę ziściło się tutaj staropolskie przysłowie: „Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi", gdyż dzięki Opatrzności Boskiej kule nie zdołały zrujnować kościoła, tylko mur gdzieniegdzie nadtłukły, czyniąc w nim wyłomy; również dach uległ poważniejszej szkodzie; lecz rzecz najgłówniejsza, że sklepienie prawie cudem ocalało nie naruszone, chociaż kula armatnia, wpadłszy przez dach na strych kościelny, powinna była, idąc naturalnym swym biegiem, ugodzić w sufit. Lecz to nie nastąpiło, gdyż granat odbiwszy się od słupa, podtrzymującego dach, zmienił swój kierunek biegu i znowu wbiwszy się w dach, eksplodował w nim, porwał na strzępy gonty i podziurawił blachę — nie tykając jednak sklepienia. I nie spełniły się przechwałki oddziałów wrogich, rabujących we dworze w Stasiowej Woli, wiosce odległej o 5 klm., u obywatela Miecz. Wojakowskiego: „Oho, wże rozbyłyśmo kostel w Bursztyni" — gdyż świątynia o grubych murach i silnej budowie zniosła bez większych uszczerbków demoniczne napaści.

Plebania też została ugodzona kilkoma kulami, które przebiły mur grubości 1 m. 20 cm., zamieniając sprzęty w kuchni i pokoju koło niej w bezkształtną masę rzeczy pogruchotanych. Również na wikarówkę wpadł granat i przebiwszy murowaną ścianę, wybuchnął w pokoju. Straszliwe wstrząśnienie wysadziło wszystkie szyby, odrzucając je daleko; zrujnowana podłoga, potłuczony mur, posiekane ułamkami kul meble utworzyły obraz zniszczenia. Szczęśliwem zrządzeniem Bożem, uratowali swe życie domownicy, schroniwszy się w tej tak krytycznej chwili do kościoła.

*) Oto ich nazwiska: Józef Krupa, Tadeusz Kurcon, Wawrzyniec Wachowy; nazwiska czwartego nie mogłem się dopytać.

Nazajutrz, tj. pamiętnego dnia 29-go maja, w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, zaświtało nam słońce oswobodzenia, gdy polska artylerya weszła do miasta, zmuszając nieprzyjaciół do panicznej ucieczki.

Strata ogólna, wyrządzona uszkodzeniem kościoła, probostwa i wikarówki, wynosi około 15.000 kor. Obecnie już wszystko za Boską pomocą odbudowane, pomimo szczupłych funduszów, gdyż nie urządzano żadnych większych składek, jedynie ofiarami z tacy kościelnej pokryto koszta naprawy.

Zostawiono tylko na kościele w murze wyłom, a napis pod nim umieszczony przypominać będzie potomnym, jakie losy przechodziła nasza świątynia w czasie obecnej walki narodowej. *X. St. Stankiewicz*, proboszcz.

Bolączki duchowieństwa. Podobnie jak u nas tak samo i za granicą sprawy organistów, iura stolae, stosunki wikarego do proboszcza są na porządku dziennym; i tak zajmował się temi sprawami wydział „Związku Księży" w Solnogrodzie, konferencya dyecezyalna w Eichstätt, w której brali udział dziekani i w tajnych wyborach wybrani 2 delegaci z każdego dekanatu (między nimi także wikarzy) i synod dyecezyalny w Rottenburgu.

List pasterski przeciw lichwie wydał X. arcybiskup fryburski Dr. Nörber, w którym występuje ostro przeciw temu grzechowi tak dzisiaj rozpowszechnionemu. Zachęca także rolników, by nie uchylali się od dostarczenia kontyngentu i występuje przeciw sprzedaży zboża po lichwiarskich cenach tym, którzy potem wywożą środki żywności za granicę. Ostrzega, że nadmierna drożyzna żywności może doprowadzić do wojny domowej i do bolszewizmu.

Z życia zakonów. Zakon OO. Kapucynów liczył z początkiem 1919 r. 9786 członków, w tej liczbie 5381 księży, 1115 kleryków, 2575 braci, 374 nowicyuszów. W r. 1914 liczył zakon 10176 członków. — Generałem XX. Misyonarzy został X. Franciszek Oerdier, dotychczasowy wikary generalny. Jest to od czasów św. Wincentego 117-ty ich przełożony.

Rzym. OO. Jezuici łącznie z uniwersytetem gregoryańskim opierając się na dobrych wynikach, jakie przyniosły ich odczyty dla świeckich o kulturze religijnej postanowili obecnie stworzyć stały instytut dla kultury filozoficznej i religijnej, apologetyki i nauk pomocniczych. Do naśladowania!

Warszawa. 28. X. odbyła się w Warszawie konsekracya pierwszego Nuncyusza apostolskiego w nowej Polsce X. Dr. Achillesa Ratti'ego na tytularnego arcybiskupa Lepantu w katedrze św. Jana. Aktu dokonał X. arcyb. Kakowski. Na uroczystości tej było obecnych 17 biskupów. Był także Naczelnik państwa, prezydent ministrów, marszałek sejmu, wszyscy ministrowie i wszyscy posłowie akredytowani przy rządzie polskim.

Płock. „Miesięcznik pasterski płocki" podaje w numerze październikowym 35 tematów do egzort dla szkół średnich i 42 dla szkół początkowych. Przy pierwszych podana jest dyspozycya i podręczniki z notą: Winkowski (b. dobre), Jeża (dobre,) Wątorka, Vrany, Józefowicza (wyczerpujące). — Przy drugich nie ma ani dyspozycyi, ani podanych podręczników. Obydwa plany pochodzą z Warszawy. Warteby były omówienia.

Kolegium polskie w Rzymie jeszcze nie jest czynne w bieżącym roku szkolnym. W przyszłym roku ma się odbyć jego jubileusz 50 letni. Biskupi, którzy będą wtedy w Rzymie, przywiozą z Koleg. polsk. świecę Piusa IX. tam przechowywaną. Świecę tę otrzymał Pius IX. przy kanonizacyi św. Jozafata od jej postulatorów i zaraz oddał Bazylianinowi Dąbrowskiemu, mówiąc: „Schowajcie tę świecę, by ją można było zawieźć do Warszawy, gdy Polska odzyska niepodległość".

Hospicyum polskie z powodu wojny zostało wydzierżawione i dopiero w przyszłym roku będzie wolne.

Rektorem jego został zamianowany X. Gauthier, były wiceregens seminaryum warsz.

Zw. lud. nar. a stosunek Kościoła do państwa. Zjazd Zw. lud. nar., do którego należy 14 księży posłów, między nimi X. arcyb. Teodorowicz, obradował w Warszawie 26. października w liczbie około ośmiu tysięcy delegatów z całej Polski. Uchwalił projekt programu. Czytamy w nim między innemi, że siłę moralną społeczeństwu da wychowanie w duchu religijnym i narodowym, a więc: Kościół, szkoła, rodzina i władza państwowa. Uważając Kościół za kierownika moralnego życia narodu, Zw. lud. nar. domaga się dla niego pełnej niezależności i naczelnego stanowiska w państwie.

Praga. Nuncyusz papieski w Wiedniu przybył do Pragi w towarzystwie Msra Micaro i wręczył Beneszowi, ministrowi spraw zagran., dekret uznający Republikę czesko-słowacką przez Stolicę apostolską. Wkrótce ma być zamianowany poseł czesko słowacki przy Watykanie.

Boston. Kard. O'Connel udziela co roku konwertytom z Bostonu Sakramentu bierzmowania. Tego roku przystąpiło ośmset osób rozmaitych zawodów i rozmaitego wieku. Krewni, którzy się temu przypatrywali, także prawdopodobnie wkrótce się nawrócą.

Finlandya wysłała do Rzymu katolickiego księdza Christirsona by omówić ze Stolicą apostolską położenie Kościoła katolickiego w Finlandyi.

Konferencya biskupów amerykańskich w Waszyngtonie uchwaliła między innemi założenie biura informacyjnego z kapitałem 5 mil dolarów. Takie biuro może spełnić zadanie bardzo ważne dla Kościoła.

Spirytyzm i okultyzm. Przeciw tym błędnym praktykom rozpoczął walkę w Stanach Zjednoczonych Raupert, konwertyta, autor znakomitej książki o spirytyzmie. Papież życzył mu powodzenia.

Synod dycezyalny w Augsburgu odbył się 14 października przy udziale przeszło 100 księży. Tematem obrad były sprawy przedłożone przez dekanaty, sprawa Związku księży, mów pogrzebowych, wikarych, organistów i zniesienia iura stolae. Obrady trwały przez jeden dzień. Poszczególne sprawy załatwiono w ten sposób: organizacya księży, któraby się zajmowała sprawami kościelnemi, jest niedopuszczalną, związki księży mogą mieć cele naukowe, charytatywne i ekonomiczne; postanowiono stworzyć Związek księży na wzór monachijskiego; wszyscy byli za poprawą losu wikarych i oświadczyli się za utrzymaniem iura stolae i zatrzymaniem mów pogrzebowych.

Związek księży włoskich z całego kraju obradował w Neapolu. Kardynała Maffi'ego obrano przewodniczącym przez aklamacyę. Na sali obrad było wielu biskupów. Na porządku dziennym było położenie materyalne duchowieństwa łącznie ze stanem funduszu religijnego, postanowiono także obok biura prawnego, które istniało przy Związku, stworzyć sekretaryat krajowy. Ojciec św., któremu przedstawiono zabiegi organizacyjne duchowieństwa, wyraźnie aprobował zawodową organizacyę księży.

Po Walnem Zgromadzeniu Związku Katechetów w Galicyi.

Jesteśmy świadkami usiłowań rozmaitych organizacyi, by jednoczyć swe prace, które dotychczas z powodów politycznych pracowały oddzielnie. Jednoczą się organizacye nauczycielskie wszystkich ziem polskich, w zasadzie wytwarza się jednolitą organizacyę oświatową itd. Wszystkie te dążenia natrafiają na mnóstwo trudności i naturalnych, a także i niepotrzebnych. Poszczególne dzielnice wytworzyły sobie swoiste metody pracy, jedne celują w tych, inne w innych robotach. Nie można tu przeoczać i pewnego partykularyzmu. Przed rozbiorami mieliśmy partykularyzm ziem, dzisiaj mamy partykularyzm zaborów. Mówi się więc, że b. Królestwo ma ludzi „z domowem wykształceniem", że Galicya jest „zaustryaczała i zbiurokratyzowana", Poznańskie to „Beocya i na pruską modłę wymusztrowane społeczeństwo". Nie chcę zbijać tych poglądów, ani uzasadniać, chciałbym tylko stwierdzić, że część tych uprzedzeń partykularnych ma i duchowieństwo polskie. Może to być przykrem, ale stwierdzić się to niestety musi, jak musi się temu wypowiedzieć walkę. Stwierdza to zresztą i X. Dr. Lubelski, w art. swoim o „Księżach w Sejmie" (Nr. 13 G. K. z. r. b.)

Ten partykularyzm cięży także i na próbie zjednoczenia katechetów całej Polski w jeden Związek. Ze względów praktycznych inicyatywę w tym względzie powinno ująć duchowieństwo warszawskie i wszyscy mu to przyznawali. Czekano cierpliwie na statut i na plan nauczania religii, przypuszczając, że Warszawa, porozumiawszy się z katechetami z b. Galicyi, którzy od szeregu lat pracują, stworzy i odpowiedni statut i odpowiednie plany. Ten respekt dla stolicy i w tych sprawach był tak silnym, że nie wyciągano konsekwencyj z tak późnego przysyłania rozmaitych projektów, że nie można ich było roztrząsnąć, z fatalnego planu nauczania religii i chciano rozwiązać Związek katechetów, choć niema jeszcze nowego i z tym wnioskiem przyszedł Wydział Zw. na Walne Zgromadzenie.

Jednakowoż delegat Koła krak. X. Dr. Józef Rychlicki uzasadnił potrzebę zatrzymania Związku do jakiegoś czasu a z dyskusyi ogólnej wyniknęło, że duchowieństwo w Królestwie odżegnywa się od wszystkiego, co jest z Galicyi — dlatego że jest z Galicyi. Tak było z projektem statutu nowego Związku, tak w sprawie planów, jak i pisma fachowego. Nie przedstawia się zmian, któreby były potrzebne, lecz zignorowawszy wszystko, chce się bezwzględnie tworzyć coś swojego. I niktby przeciw temu nic nie miał, gdyby to coś nowego było lepszem. Niestety tego nie widzimy. Nam to wszystko przedstawia się tak, jak i praca urzędników ministeryalnych i politycznych, których sobie Królestwo za Moraczewskiego zaimprowizowało.

Wobec tego daleko posuniętego partykularyzmu musimy się odnosić bardzo krytycznie do projektów warszawskich; poddawać je będziemy rzeczowej krytyce, a zatrzymujemy do czasu Związek katechetów b. Galicyi, który opierając się na doświadczeniu długoletniej pracy, przygotuje projekt statutu dla Związku katechetów całej Polski i projekt nowego planu nauczania religii.

W takim duchu trzymana była dyskusya na Walnem Zgromadzeniu, które przekonało nas, że musimy ująć akcyę w swoje ręce.

Koła prowincyonalne, które się już ożywiły, wyraziły zgodę na to przez swoich delegatów i żądały od Wydziału Związku intenzywnej pracy i dokładnego informowania.

Prezesem Związku wybrano (po rezygnacyi dotychczasowego prezesa X. dra Pechnika), dra Antoniego Ratusznego, wiceprezesem dra Zygmunta Bielawskiego; nadto weszli do Wydziału księża: Franciszek Bielówka, Karol Csesznak, dr. Teofil Długosz, Michał Dobija, Adam Hausner, Maxymilian Sokołowski, dr. Gerard Szmyd. Nowy Wydział, do którego wchodzą i delegaci poszczególnych Kół, obejmuje dość bogate tradycye, bo zwyczaj dość częstych zebrań (od 15/2 1913—1/XI. 1919 było ich po nad 120), wydanie kilku podręczników szkolnych, plany dla szkół wydziałowych i średnich, 2 kursy katechetyczne itd. Całkiem więc było naturalnem, że dotychczasowych pracowników, którzy największe położyli zasługi, X. dra Aleksandra Pechnika i X. Mateusza Jeża, Walne Zgrom. zamianowało przez aklamacyę członkami honorowymi Związku. Nowy wydział jest przejściowym, bo ma się przyczynić do stworzenia dobrego Związku katechetów całej Polski i opracowania dobrego planu nauczania religii w szkołach niższych i średnich. — Tutaj potrzebne są jednak nie tylko życzenia i czekanie z krytyką do następnego Walnego Zgromadzenia, ale i współpraca ogółu członków.

X. dr. Teofil Długosz.

„Profanacya kościoła przez księży".

Pod powyższym tytułem zamieściło w dziale kroniki politycznej pismo ulotne[1]) stronnictwa niezawisłości narodowej, wychodzące rok drugi, w zeszycie 2-gim (z 15. I. b. r.) co następuje: „Do czego doprowadza zacietrzewienie partyjne ze strony księży i ich nienawiść do ruchu ludowego, posłużyć mogą następujące charakterystyczne przykłady:

1. W Krośnie niedawno jeden z księży poważył się z ambony napaść na obecny rząd polski[2]) i ruch ludowy. W kościele, świątyni Boga, przeznaczonej na modlitwy i skupienie ducha, rozległy się nagle oklaski z jednej strony, z drugiej zaś gwizdy i protesty.

2. Do Krakowa przybyło grono dziewcząt z Uścia solnego (z pod Bochni) celem zwiedzenia miasta. Kilka z nich poszło do spowiedzi. Lecz oto ksiądz rozgrzeszenie uzależnił od wystąpienia z Ligi kobiet, do której spowiadające się należały. Ponieważ niektóre z nich właśnie miały braci w Legionach, dziś w wojsku polskiem, nie chcąc zaprzestać udzielania im dalej pomocy przez szycie bielizny i tym podobne czynności, które wchodzą w zakres prac Ligi, musiały zrezygnować z rozgrzeszenia.

3. Stwierdzonem jest także, że księża celem zwalczania swych przeciwników politycznych dopuszczają się oszczerstw, za które winni odpowiadać 6 miesięcznem więzieniem lub wysoką grzywną.

Te i inne przykłady świadczą, jaki jest poziom moralny wśród księży.

Dla przeprowadzenia swych celów partyjnych nie wahają się kalać słowa Bożego, nadużywając go dla walki politycznej, nie wahają się profanować kościoła, w spokojny Dom Boży, miejsce cichej modlitwy i pojednania wnosząc wrzask i nienawiść". Tyle „Chwila bieżąca".

Oburzenie S. N. N. i jego organu niewłaściwą obrało drogę i formę.

Co do samego meritum spraw dotkniętych: ad 1. Inny czytaliśmy komentarz w prasie bezpartyjnej. Ad 2. Zechce S. N. N. zważyć, że sprawa sama wysuwa się z pod dyskusyi (zwłaszcza publicystycznej), a w sprawie oceny rozstrzygnięcia spowiednika pozwoli sobie zwrócić uwagę na inny zakres prac Ligi i na obowiązujący nas list Biskupów w sprawie L. K., no.. i na kompromitujące L. K. i S. N. N. alianse, o których społeczeństwo nasze pamięta. Ad 3. Zechce S. N. N. choć połowę groźby zarezerwować dla siebie... Bo stoimy wobec zarzutów bardzo poważnych, które wymagają stwierdzenia. P. Walek, redaktor „Chwili bieżącej", winien pamiętać, że biczyk dziennikarski nie dosięga ambony, a tego rodzaju „występy" kompromitują redakcyę i nie przyczyniają się niczem do umocnienia wielkiej Polski, o której do znudzenia deklamuje S. N. N.

— — — — — — — — — — — —

Nie profanujemy kościołów i ambon, wskazując na niebezpieczeństwo chwili bieżącej, piętnując mianem należnem zakusy antyreligijne otwarte czy zamaskowane mniej lub więcej udatnie.

Nie partyjnych interesów bronimy, ale interesów religii, moralności publicznej w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, interesów i walorów Bożych.

Niedawno zmarły w Warszawie W. Kosiakiewicz, pisał w znamiennym apelu do duchowieństwa polskiego: „I stolica biskupia w pewnych momentach jest twierdzą polityczną. A gdyby nie była nią w pierwszych momentach panowania Mikołaja II., toby język rosyjski wtargnął przed ołtarze Pańskie, jak już się był rozpostarł w kancelaryach parafii naszych". — Ambona jest ekspozyturą stolicy biskupiej w pewnem znaczeniu. Twierdzą polityczną jednak w znaczeniu pospolitem nie stanie się nigdy.

Jednak S. N. N. et cons. zapominać nie powinni, że interesy polityczne wrzynają się nieraz ostro w sferę religii, a religia i sprawy kościelne w zakres przedsięwzięć i faktów politycznych. Każdemu, na swym terenie, wolno bronić interesów, których jest **powołanym** przedstawicielem.

O stronę patryotyczną naszych przedsięwzięć może S. N. N. być zupełnie spokojne. Aczkolwiek uważa się za jedynego i najlepszego tłumacza naszych interesów narodowych, zapominać nie powinno, że księża polscy, stający w obronie interesów religijnych nowej polskiej republiki, przeciwstawiający się zakusom „szkoły świeckiej" i t. p., bronią jak najlepiej interesów narodowych, chroniąc Ojczyznę przed zalewem międzynarodówki takiej czy owakiej.

X. Henryk Weryński.

[1]) Obok „Kultury Polski", organu Piłsudskiego, wychodzi p. t. „Chwila bieżąca".

[2]) Socyalistyczny.

Bibliografia.

X. Piotr Mańkowski. Z nami Bóg. Rzecz o Eucharystyi. Poznań 1919. — Warszawa. — Nakład Księgarni Św. Wojciecha. — Str. VIII. i 284. Cena 8 mk.

Podobnie jak w przededniu wypowiedzenia wojny francusko-pruskiej odbyła się ostatnia dotychczas sesya soboru watykańskiego, tak też przed rozpoczęciem obecnej wojny zebrał się w Lourdes ostatni po dziśdzień międzynarodowy kongres eucharystyczny, w którym uczestniczył obecny Pasterz kamieniecki. Wracając, nie mógł się już przedostać w swe rodzinne strony, zamieszkał więc na czas pożogi wojennej w starej stolicy Polski, gdzie *panem otiosus non comedens* zbogacił literaturę ojczystą religijną trzema tomami rozmyślań dla kapłanów *(Tu es Petrus, Tu es vas electionis* i *Ecce Mater tua)*, oraz dziełem treści liturgicznej p. t. „Po Naszemu", na które dostatecznej uwagi może jeszcze dotychczas nie zwrócono [1]). Obecnie Dostojny Autor, pragnąc poniekąd wynagrodzić społeczności naszej świeckiej brak od tylu lat kongresów eucharystycznych, jako jedyny obecnie przedstawiciel Polski w ich Komitecie organizacyjnym, w pracy świeżo wydanej poucza nas doskonale o Sakramencie Ołtarza. Mamy tu krótko a nader treściwie zebrane wiadomości i z dogmatyki i z teologii moralnej i ascetyki i prawa kanonicznego i liturgiki, odnoszące się do Eucharystyi. Po pierwszych dwu rozdziałach, zawierających zasady dogmatyczne, rzecz cała dzieli się na trzy części: Tajemnica wiary (nawiedzanie Przenajśw. Sakramentu), Tajemnica nadziei (Msza św.), Tajemnica miłości (Komunia św.). Kończy rzecz wspaniały rozdział p. n. „Synteza kultu", wskazujący znaczenie Eucharystyi dla społeczeństwa.

Dostojny Autor umiał połączyć dwie zalety pisarskie, często nie idące w parze: obfitość treści z powabną i lekką formą. Ten zespół dwóch cennych właściwości, — jak z jednej strony uprzyjemnia bardzo czytelnikowi zapoznanie się z rozprawą, tak z drugiej strony mógłby się stać niekiedy powodem, iż czytelnik, mniej skupiając uwagę, pominął by jakąś zasadę ważną, wtrąconą mimochodem. Dlatego ostrzegamy czytelników tej książki, iż mimo formy jej przystępnej winni skupić całą swą uwagę, a nie pożałują tego; dość wymienić tu przepiękne wytłumaczenie liturgii mszalnej, której „zamiłowanie (a dodajmy i znajomość) stanowczo szersze wśród nas przybrać winno rozmiary". To też Autor słusznie nalega na bywanie na Mszach św. uroczystych i łączenie się wówczas z celebransem przez odmawianie z nim razem modłów liturgicznych, czy to z tekstu łacińskiego, czy w tłumaczeniu polskiem, ale też z drugiej strony dodaje, że liturgia wtedy dopiero wywrze cały swój wpływ pociągający, gdy będą należycie uwzględniane jej rubryki, z których żadnej nie ułożono napróżno. Książkę zamyka dodatek, zawierający tłumaczenie hymnów liturgicznych ku czci Przenajśw. Sakramentu i Krzyża św. Przekład ten piękny i wierny zasługuje na przedruk w naszych modlitewnikach.

[1]) Por. G. K. z r. 1917 str. 285. — Dop. red.

Jeżeli wolno nam wyrazić swoje zdanie, to szkoda, że Dostojny Autor nie dodał kilku szczegółów o Zakonach, a zwłaszcza o Bractwach i Stowarzyszeniach eucharystycznych i o odpustach, nadanych za nawiedzenie Przenajśw. Sakramentu wystawionego, za słuchanie Mszy św. i za częste przyjmowanie Komunii św., do której przystąpienie jest jednym z warunków pozyskania większej części odpustów zupełnych. Ale i bez tego uzupełnienia najnowsza praca X. Biskupa kamienieckiego, również jak i Jego poprzednie książki, jest cennym nabytkiem dla naszej literatury ascetycznej i mamy w Bogu nadzieję, że spełni swe zadanie, by ułatwić zrozumienie lepsze i pomnożenie w Ojczyźnie naszej czci Pana Jezusa w Sakramencie Eucharystyi.

Maryan Bartynowski.

„Polonia Sacra“. Nr. 3. (Dok.) Rozprawa dra Rubczyńskiego zawiera dużo myśli głębszych i bardzo godnych uwagi. I tak mówi on dobrze o warunkach kultury (str. 61 n.), o kapitale, który tak często wywiera wpływ ujemny na rozwój kultury i powinien ulegać pewnym ograniczeniom (str 63), o „rozwijaniu samodzielności sądu i autokrytycyzmu“ (79 nn.), o potęgowaniu siły woli (85 nn.), o wyrabianiu i wzmacnianiu poczucia sprawiedliwości (89 nn.). Autor stoi na stanowisku chrześcijańskiem i rozwija poglądy dla nas bardzo sympatyczne. Uderzyło nas tylko zdanie na str. 109 o „sprawie wyznawania i chwalenia Boga (takiego, jakim go sobie przedstawia i chrześcijaństwo i Platon i Leibniz i Kant):“ czyż Kant pojmował Boga naprawdę po chrześcijańsku? Czyż nie przyswoił on sobie myśli przewodniej Rousseau'a, że człowiek nie potrzebuje poddawać się żadnemu ograniczeniu swojej wolności? Wszakże kluczem do świata jego idei jest autonomia rozumu praktycznego: nikt nie ma prawa rozkazywać człowiekowi, nawet Bóg! Według niego to jest dobrem, co ja sobie sam nakazuję; źródłem prawa i obowiązku jest moja wolność. Prawda, że kantowski bohater cnoty nie rozkoszuje się w swoich uczuciach, nie oddaje czci swemu szlachetnemu sercu, jak bohater Rousseau'a ale on podziwia głos obowiązku w swojem wnętrzu, a wszakże to głos, którym on sam do siebie przemawia.[2])

W tem wyswobodzeniu ducha ludzkiego od przymusu zewnętrznego upatrują czciciele Kanta pokrewieństwo jego dzieła z dziełem reformatorów.

Tak np. przypisuje teolog protestancki Ritschel etyce Kanta „znaczenie praktycznej restytucyi protestantyzmu i odnowienie moralnego na świat poglądu reformacyi“[1]). W rzeczywistości jednak trzeba stwierdzić, że filozof ten nie przysłużył się bynajmniej przez to „wyswobodzenie“ ani etyce ani religii: nie uznaje on żadnych praw moralnych oprócz tych, które rozum ludzki sam sobie ustanawia; — człowiek nie potrzebuje poczuwać się do żadnych obowiązków ani wobec bliźnich ani wobec samego Boga, którego istnienie nie da się udowodnić, chociaż wiara w nie należy do postulatów „rozumu praktycznego“. Doszedłszy bowiem w swojej „krytyce rozumu czystego“ do wyników sceptycznych, przyznał Kant w nauce o „rozumie praktycznym“ potrzebę wiary w Boga i nieśmiertelność duszy, ale jego Bóg nie jest panem świata, prawodawcą i sędzią czynów ludzkich; — jest On tylko na to potrzebny, żeby dać cnocie rękojmię szczęśliwości, której człowiek nie może osiągnąć własnemi siłami. O „obowiązkach religijnych“ pisze Kant w swojej „Metafizyce obyczajów“ wyraźnie tak: „Nie mamy przytem przed sobą jakiejś Istoty danej, wobec której mielibyśmy obowiązki, bo wtedy musiałaby jej rzeczywistość być dowiedziona przez doświadczenie (albo objawiona)“[3]). Czy takie zapatrywania dadzą się pogodzić z nauką Chrystusową?

Rozprawka prof. dra Abrahama p. n. „Reforma na soborze w Pizie 1409 r. i udział w niej przedstawicieli Kościoła polskiego“ (str. 114—125) jest krótkim, ale cennym przyczynkiem do historyi owej epoki.

W dłuższej rozprawie ostatniej X. dra Fijałka o przekładach pism św. Grzegorza z Nazyanzu w Polsce (str. 126—207) musimy znowu podziwiać znaną nadzwyczajną pracowitość tego uczonego badacza, który tu nagromadził mnóstwo wiadomości, — po części drobiazgowych — o profesorach uniw. Jagiellońskiego, z w. XVI. a w szczególności o wybitnym humaniście Stanisławie Grzepskim († 1570). O tym dowiadujemy się nawet takich szczegółików, że wpisując się na uniw. krakowskim w r. 1538, złożył tylko „częściową opłatę imatrykulacyjną dwóch groszy (na ośm)“ (str. 131), że „używał egzemplarza „listów filozofów“ w wyd. weneckiem Alda Manucyusza z marca 1499“ itd. (str. 136). Inne szczegóły, zawarte w rozprawie, rzucają dużo światła na dzieje naszej kultury w wieku XVI. Dokończenie rozprawy musiał autor odłożyć do następnego zeszytu, z powodu, że zagrażał strajk składaczy. X. A. P.

Wilhelm Bruchnalski. Rozwój wymowy w Polsce. (Dok. p. nr. 11 z r. b.)

Jan z Szamotuł, zwany Paterek, został zamordowany, jak dowodzi tego L. Malinowski na podstawie kalendarzy współczesnych, nie 1539 lecz 1519[1]). Pisząc o Karnkowskim, autor przypisuje stanowczo zbiory kazań, wydane pod tyt. „Messyasz“ i „Eucharistia“, arcybiskupowi, a tymczasem Pelczar, opierając się na Annales collegii posnaniensis Societatis Jesu, podaje, że ich autorem jest Adryan Junga, Jezuita; w pierwszem wydaniu z r. 1896 nie chciałby przypuszczać, aby Karnkowski „dopuścił się jawnie podobnego plagiatu“ (151), ale w drugiem wydaniu z r. 1917 bezwzględnie zbiory przypisuje Jundze[2]).

Dalej nie można stanowczo stosować ogólnie do baroku kaznodziejskiego zdania X. Szelewskiego, jakoby ówcześni kaznodzieje „Biblię poczytywali za rzecz niepotrzebną“. Przeciwnie bardzo dużo czerpali z Biblii: dla przekonania się, proszę zajrzeć choćby do kazań Mijakowskiego, Dziewulskiego, Kierśnickiego. Inna rzecz, że i w cytowaniu Pisma św. kierowali się złym smakiem, że je dziwacznie nieraz wykładali, że mniej istotne rzeczy brali. X. Kosiński w najnowszej swej książce o Mijakowskim dowodzi właśnie, że barok dużo posługiwał się Pismem św. i w tym względzie do pewnego stopnia może być wzorem czasom naszym. Za to w początkach dziewiętnastego wieku możnaby u niektórych, nawet u Woronicza, więcej wymagać Pisma św.

Z okresu wtórnie, klasycznego pochodzący Józef Winc. „Łańcucki“, słusznie zaliczony do najlepszych kaznodziejów — z mów Kościuszkowskich wówczas wygłoszonych jego jest zdaniem naszem najlepsza[1]) — winien pewnie nazywać się „Łancuckim“, bo tak brzmi jego nazwisko na współcześnie wydanej mowie, tak podaje je X. Kiliński w wydaniu poznańskiem „Kazań i mów“ z 1856 r., tak też i Estreicher.

Co do Kaspra Balsama, nie można o nim już dziś cytować słów Pelczara, że był „heroldem szkoły naśladownictwa“, bo w drugiem wydaniu pisze już najwyraźniej: „a wady epoki naśladownictwa nie występują u niego jaskrawo“. Zresztą autor drugiego wydania z r. 1917 nie mógł widocznie już uwzględnić.

W najnowszym okresie — „z powodu obfitego a zasadniczo zgoła prawie nie opracowanego materyału rozdział ten przedstawiony poglądowo i bibliograficznie“ pisze autor na str. 379, — musimy w pierwszym rzędzie, podkreślając, że autor jednak „grupuje“ trochę kaznodziejów wedle talentu, upomnieć się za Stablewskim. Nie wymienia go autor między najwybitniejszymi, a jednak góruje on zdaniem naszem nad Antoniewiczem a nawet Hołowińskim zaletami retorycznemi i artystycznemi. Jego „Mowy żałobne“ zaliczam do klasycznych, do arcydzieł naszego kaznodziejstwa. A czy my takiego Antoniewicza — cześć szczęsnej żarliwości misyonarza! — nie przeceniamy? Wogóle dowodzi zwłaszcza wiek 19, jak dotkliwie odczuwamy brak badań naukowych nad kaznodziejstwem.

---

[1]) Por. Willmanna, „Gesch. des Idealismus“, tom III. str. 391 nn.
[2]) Ritschel, Die christliche Lehre von der Rechtfertigung I., str. 431 (cyt. n. Willmann'a l. c. str. 400.
[3]) Werke VII. str. 211.

[1]) Sprawozdanie Kom. jęz. t. I.
[2]) Dr. I. Seb. Pelczar „Zarys dziejów kazn. w Polsce“ str. 92 i 151.
[1]) Por. „Mowy Kość. przed stu laty“, Przegl. powsz. 1918 r.

A jest to wiek właśnie bardzo bujnego ruchu kaznodziejskiego. Autor, opierając się na pierwszem wydaniu Pelczara, liczy w 19. w., kaznodziejów, autorów na 303, dodając, że Pelczar wszystkich nie uwzględnił. Słusznie, i w drugiem wydaniu znacznie właśnie co do nowszych czasów pomnożonem, jeszcze Pelczar nie zdołał wszystkich zawrzeć, jak to wykazaliśmy na łamach „Przeglądu powszechnego". Więc prawdziwie imponująco przedstawia się nasze kaznodziejstwo w 19 w. Wymieniając tłumaczenia św. Jana Chryzostoma, można było dodać jeszcze wspaniałe X. Anzelma Załuskiego[1]), przy czasopismach pominięto „Nową Bibliotekę kaznodziejską", która jedyna ze wszystkich polskich pism homiletycznych przetrwała wojenną zawieruchę i już dwunasty rok zasila kaznodziejów.

Tyle co do treści. O formie powiedzieć można, że jest niemal znakomita. Autor, wniknąwszy głęboko w dzieje wymowy polskiej, najgłębiej zda się dotąd ze wszystkich, ogarnąwszy jej całokształt, o ile to dotąd było możliwem, jasno, przejrzyście, olbrzymi wprost materyał uporządkował i ułożył. Podziwiać wszędzie dążność do syntezy. Dzięki temu wprost wspaniałe są ogólne poglądy na okresy i ich znamiona, dzięki temu nie gubi się czytelnik w lesie nazwisk i napisów, lecz zauważa od razu najwybitniejszych przedstawicieli okresu, poznaje z lotu ptaka ich życiorys, zaznajamia się z najważniejszemi dziełami.

Przyczynia się do wartości rozprawy dość ładna polszczyzna, lecz byłaby ona jeszcze ładniejsza, gdyby nie była tak bardzo „profesorska". Autor za mało się liczy z tem, że rozprawa nie tylko przeznaczona dla kolegów, ale dla najszerszych kół inteligencyi. Z tego stanowiska patrząc, powiedzieć trzeba, że styl, zwłaszcza w początkach jest nieco ociężały, że można w nim było unikać niektórych obcych wyrazów w rodzaju „oratoryi", że trzeba było niektóre terminy techniczne, jak gongoryzm, marynizm, barletowanie, określenia nawet nie wszystkim księżom znane, trochę objaśnić.

Co powiedzieć jeszcze o stosunku rozprawy do dzieła Pelczarowego, czy obok niego ma jeszcze swe znaczenie? Znamiona odrębne odrazu się w oczy rzucają. Pelczar pisał tylko o kaznodziejstwie, Bruchnalski także o wymowie świeckiej; Pelczar dąży do podania możliwie wszystkich kaznodziejów, więc tylko o dziejach kaznodziejstwa pisze 490 stron, Bruchnalski usiłuje podać tylko najważniejszych, by w ogóle zobrazować kaznodziejstwo; Pelczara notatki biograficzne są nieraz dość obszerne, Bruchnalski jak najmniej ich podaje. Wreszcie rozprawa Bruchnalskiego ma o tyle wielkie znaczenie, że patrzy on na kaznodziejstwo ze stanowiska historyka literatury i artyzmu i w tym względzie zostawia nam rzecz znakomitą, podczas gdy Pelczar pisze jako teolog i historyk kościelny.

I przybywa to dzieło, które winno się ukazać w osobnej książce, właśnie na chwilę odrodzenia się nauk teologicznych w Polsce, spodziewamy się i nauk homiletycznych. Bez wątpienia usiłowania dostojnego profesora, wykazujące dobitnie, jak wielkie znaczenie miała wymowa u nas i jeszcze mieć może, staną się dla młodych badaczów mocarną zachętą do wytrwania w mozolnej i zda się dziś jeszcze niewdzięcznej pracy. „Słowo żywe", pisze autor, „które w całem życiu lat minionych XIX w. i toczących się obecnie odgrywało rolę tak wybitną, tak pierwszorzędną i zgoła nie do zastąpienia jako środek do szerzenia oświaty, nauki i kultury pod jakąkolwiek postacią i gdziekolwiek: w domu, szkole czy na miejscu publicznem, jako narzędzie najdzielniejsze do oskarżeń czy obrony w przybytkach sądu i wymiaru sprawiedliwości, jak oręż najskuteczniejszy do zdobywania i gruntowania praw narodowych i politycznych itp. słowo żywe, ze stanowiska wszystkich przytoczonych funkcyi brane, w przeciągu ostatnich ośmdziesięciu kilku lat straciło wszystkie starsze miejsca kultu, a nie zdobyło nigdzie nowego, w którem by pielęgnowano, je naprawdę jako ars oratoria, jako eloquentia, in cuius manu mors et vita" (381). Oby ta skarga zasłużonego profesora nie została głosem wołającego na puszczy, lecz stała się, poparta echem idącem z całej rozprawy, wielkiem ostrzeżeniem i potężnem wezwaniem do podjęcia wpływowego dzieła wymowy!

Poznań. *X. Nikodem Cieszyński.*

[1]) Pisma św. J. Chr. Warsz. 1854.

Z prasy peryodycznej.

W *„Pokłosiu Salezyańskiem"*, tymczasowym organie pomocników Salezyańskich, Nr. 1 z b. r. czytamy na str. 5. takie zdanie o warunkach częstej i codziennej Komunii św:

„Trzeba tylko tego lekarstwa (t. j. częstej Komunii św.) zażywać wedle recepty — to jest wedle przepisów Kościoła św. streszczonych w orędziu Ojca św. Piusa X. wolni od grzechu, wolni od przywiązania do grzechu nawet powszedniego, ożęwieni prawymi zamiarami."

Zdanie to trąci jansenizmem czyli przesadnym rygoryzmem, który zamiast zachęcać, odstręczał wiernych od częstej Komunii św. W uchwale św. Kongregacyi Soboru trydenckiego o codziennej Komunii św. z dnia 20. grudnia 1905, przedrukowanej nakładem Dyrektora Apostolstwa modlitwy w Krakowie (z aprobatą kardynała Puzyny z dnia 7. czerwca 1906), czytamy, że do częstej Komunii św. wystarcza stan łaski i dobra intencya:

„Wypada wprawdzie i jest ze wszech miar pożądanem, by dusza często lub codziennie pożywająca Ciało Pańskie wolną była od grzechów powszednich, przynajmniej całkiem dobrowolnych i wyzutą z przywiązania do tych swoich drobnych upadków; jednakowoż, jeźli chodzi o pytanie, jakie usposobienie do częstej Komunii wystarcza, odpowiedzieć należy, iż wystarcza być wolnym od grzechów śmiertelnych i mieć silnie przedsięwzięcie nigdy ich nie popełniać".

Zdaje mi się, że to jest dość jasnem i tak dotychczas wszyscy katolicy pojmowali warunki potrzebne do częstej i codziennej Komunii św. Zdanie, wyrażone w *„Pokłosiu Salezyańskiem*, opiewa znacznie surowiej i może wywołać zamieszanie w sumieniach czytelników. I bez tego stwierdzić należy, że stosunkowo dekret o częstej Komunii świętej mało u nas zyskał zwolenników; po cóż jeszcze sprawę utrudniać i zaciemniać?

Prawda, że artykuł ten w *„Pokłosiu Salezyańskiem"* nie jest skończony, że ma nastąpić ciąg dalszy, ale nie należało zdania owego drukować bez zastrzeżeń, tłustemi czcionkami i na niem urywać osnowę atykułu.

Nie wszyscy, co czytali to zdanie, będą czytać ciąg dalszy, choćby zawierał i sprostowanie tego, co się tam napisało.

Ostrożność w tego rodzaju sprawie jest bardzo potrzebna i nigdy jej niema za wiele. Inaczej najważniejsze polecenia Władzy kościelnej nie na wiele się zdadzą.

X. Mateusz Jeż.

Treść zeszytu **„Miesięcznika Kat. i Wych."** za październik i listopad r. b.

Z naszej dziedziny (X. T. Winkowski). — Dysputa o religii między tomistą i modernistą (X.). — Egz. na niedz. III. Adwentu (X. P. Nowak). — Egz. o przyczynach niewiary (X. dr. Z. Kozubski). — Kazania XV w. i Paterek z Szamotuł (X. N. Cieszyński). — Początki historyczne nauki o siedmiu grzechach głównych (X. dr. L. Wrzoł). — Nowe książki. — Książki godne polecenia dla młodzieży i ludu. — Z beletrystyki. — Nominacye i wiadomości osobiste.

Wpływy języków obcych na język polski.

(Dokończenie).

Wypisywano kryterya, po których się poznaje wpływy czeskie, jak polskie g np. w gardzić miało się zamienić na h — hardy, u na i — lutować — litować, lecz te kryterya nie-

pewne. Lecz czy staropolskie śmiertny — napotykane jeszcze w Kazaniach Świętokrzyskich — nie zamieniliśmy pod wpływem czeszczyzny na śmiertelny, Włodzisława na Władysława, czy obywatela, który analogicznie do nauczyciela winien się zwać „obywaciel,“ nie utworzyliśmy według wzoru czeskiego?

Na rozmaite wyższe pojęcia przejęliśmy od Czechów szereg wyrazów, jak świadomie, pokuta, rzetelnie uprzejmy, istota także w znaczeniu prawnem, dalej taka, jak nader, psikus. Od Czechów mamy też nazwy geograficzne, jak Rakuzy, Wiedeń, Uhry (Węgry), botaniczne jak kasaciec, rumen (rumianek); z rzemiosła wojennego jak rohatynę, koncerz, rusznicę (rucznicę), luzaka, prócz tych jeszcze wymienić można jedwab, szatę, warcaby.

Jeszcze nie ustały wpływy czeskie i niemieckie, aż tu nowa potężna fala cudzoziemczyzny wdarła się na ugory języka naszego, mianowicie łacina. Wprawdzie łacina już od samego zaprowadzenia chrześcijaństwa oddziaływała na nasz język, ale przed w. XV. łacinę znali głównie tylko duchowni. Teraz z rozpowszechnieniem szkół łacina w Polsce w warstwach wyższych poczyna dzierżyć prym tak, iż według Kromera w Polsce łatwiej rozmówić się po łacinie nie we włoskiem Latium. Według Kryńskiego łacina nie tylko w dziedzinie słowozbioru, ale i w zakresie słowotwórstwa objawia swoje wpływy. Według niej więc urabiamy przymiotniki jak afrykański, bizantyński, gnieznieński — winno być gnieźnieński — (por. Nehringa Kazania gnieźnieńskie) — a nawet rzeczowniki jak nygus, wiarus, morus, obdartus, dalej pijatyka, bijatyka, chudeusz, turbacya, pielęgnacya. Niektórych wyrazów polskich dziwny jest rodowód łaciński: z populus powstaje topola, z lilium convallium — konwalia, a zabawne jest żołądkować się ze stomachari. Pisano dużo o ogromnym wpływie łaciny na składnię języka polskiego, lecz według Kryńskiego jest ten wpływ nie zbyt szeroki dzisiaj, — dawniej język miał konstrukcye dziś już zupełnie niemożliwe.

A główne źródliska wyrazów łacińskich to szkoła, mównica, sądownictwo, medycyna. W szkole kreślono na papierze atramentem, inkaustem na kartach linie, paupry odbierały za figle plagi. Mówcy z ognistym afektem, z wielkim rumorem objawiali wrogów defekty, wyrażając im despekt, życząc ruiny tym waryatom albo też uciesznymi koncepty poruszali różne kwestye, poważnie ustawiali normy. W sądzie znowu prokurator, patron wglądali w skweres (quae res) adwersarzy, mając do pomocy sekretarzy. Medycy zaś badali humory pacyentów, przepisując im nieraz dyetę, a w lekarstwach okowitę (aqua vitae).

Niestety, łacina tak opanowała umysły wyższych warstw, że stał się prawdziwą chorobą nagminną on osławiony makaronizm 17 i 18 w. Podczas gdy w poezyi język jako tako czysty się zachował, w prozie przywaliły go takie gruzy cudzoziemczyzny a osobliwie łaciny, że tu i ówdzie tylko śmielej wygląda, chyba w kazaniach przeznaczonych dla ludu. Ale i w kazaniach panoszy się makaronizm okropny, jak o tem świadczą dzieła X. Marcelego Dziewulskiego, bardzo płodnego kaznodziei, Feliksa Kierśnickiego, którego zaliczano do najwybitniejszych i choćby same nadęte tytuły panegiryków rozlicznych.

Ale była to epidemia chwilowa, jak trafnie zaznacza Kryński, minęła szczęśliwie i język dawną znowu królewską odzyskał świetność.

Tymczasem równocześnie z łaciną i włoski język staje się modnym w wyższych warstwach, szczególnie dworskich. Zasługa to w pierwszym rzędzie królowej Bony no i obok Włochów także poetów polskich jak Morsztyna, Twardowskiego, Kochowskiego. I włoskich przybyszów po części się pozbyliśmy, ale jednak po nich zostały nam się dość jeszcze liczne pamiątki w onych brawaryach (breweryе), manatkach, wyćwierach (z ricerco) dzianetach, karetach, karocach, karyolkach a nawet w „sztafirowaniu się“. Cały szereg wyrazów włoskiego mamy w wojskowości, jak forteca, fosa, pawęże, szpada, dalej w częściach ubioru: kapelusz, manele, welon, szkarpetki; w zakresie zabaw i innych dziedzin jak spasy, karnawał, birbant, fraszka faryna = loterya, stancya, impreza, bankrut, maniera — nie z francuskiego — wiwenda, cera, kraty, kalafiory, pomidory, szparagi, selera, sałata, kalarepa, karczochy, torty, łazanki, kapary, serwety, szpalery, poczta, gazeta, wykwintny, paragon, sufit.

Ciekawe tu spostrzeżenie, że wielu przybyszów, którycheśmy uważali za Francuzów lub Niemców, to Włosi. Już Skarga zna manierę, podobnie z włoskiego moda, galant, ryzykować, szkic, cokół, fałda. Nawet mania zawitała do nas z Włoch. Dawniej wyrazów włoskich było o wiele więcej. W kazaniach 18. wieku spotyka się nierzadko altezzę a nawet gorgę (gardło).

Ciekawsze jednak od wpływów zachodnich są u nas wpływy wschodnie, rozumie się znacznie mniejsze.

Na pierwszy rzut oka, szczególnie gdy chodzi o wyrazy staropolskie, zdawałoby się, że język nasz podlegał wybitnie wpływom ruskim. Toteż przed mniej więcej pół wiekiem rosyjski lingwista Makuszew twierdził, że język polski (szczególnie to widoczne w Kazaniach Gnieźnieńskich) dużo czerpał z ruskiego. Należytą odprawę dał mu wtedy nasz uczony Kryński, boć w Kazaniach Gnieźnieńskich raczej znaczy się pokrewieństwo szczepowe niż wpływ ruski. Podobnie i słowniki niektóre wywodzą „wszystko możliwe i niemożliwe“, jak mówi Bruckner, z ruskiego.

Tymczasem „w ogóle, czem mniej Polska od Rusi, tem więcej przejmowała Ruś od Polski. Ale mimo to szereg wyrazów z ruskiego przyjął się u nas jak sobór, sojusz, kolasa, a osobliwie niższego rzędu: rubaszny, morda, portki, opryszkowie, hołota, upiór, wiedźma, znachor, kołtun. Za to u pisarzy żyjących na kresach, jak u Zimorowica, Klonowica, więcejby jeszcze słów ruskich się znalazło.

Jednakże i prawdziwie wschodnich wyrazów jest u nas dość pokaźna liczba. Zestawił je Jan Karłowicz i głównie na nim się opierając, podamy je.

Z hebrajskiego mamy między innemi skarbonę, piżmo, pomijając wyrazy zachodzące w liturgii kościelnej. Z arabskiego mamy kindżał, atłas, farys, haracz (z tego karczma), jubka, szuba. Z perskiego: bachmat, bułat, buńczuk, kilim, kord, kurhan, szarawary.

Szczególnie jednak oddziałały stosunki z Tatarami i Turkami. Tatarzy, najeżdżając Polskę w luźnych watahach albo w czambułach na bułanych rumakach, rozbijali kozaków pod assaułami, strzelali strzałami z sajdaków, chwytali ludzi na arkan. Lecz kiedy bohater hetman w bitwie się z nimi zwarł i skinął buławą na swe wojska, swych ułanów, uciekali Tatarzy, zostawiając rannych z ręką na temblaku, jeńców, z którymi można było się porozumieć za pomocą tłumaczów, a co najgorsza, zabójczą dżumę.

Z Tatarami łączyli się później Turcy, wpadając jak szarańcza. Naród kulturalniejszy więcej domowych nam przyniósł wyrazów. Więc Polacy odtąd jeździli na kulbakach, wozili ze sobą torby, tłumoki, juki, derki, wojłoki, burki, sagany, ubierali się w altembasowe ferezye, kaftany, safiany, kołpaki, pijali kawę przyniesioną w imbrykach z farfurowych filiżanek, palili z lulek tytuń, tabakę, skłonni do wymierzania kar, pajuków za lada co okładali batogiem, kańczukiem. A gdy zagrały surmy wojenne, ochoczo szli w bój, a po zwycięstwie wracali do domu, wioząc kochankom bakalie, chociaż od nich dostali arbuza.

Wiele jeszcze innych wyrazów zaczerpnęliśmy ze wschodu, jak kajdany, majdan, babosze, papucie, tulipan, muślin, towarzysz, kurdesz, opończa, kibić, sukmana, taśma, harmider, tuman, towar. Wiemy mamy wspólnych z językami zachodnimi, jak zero, cyfry, karafka, materac i inne. Wyrazów wschodnich było najwięcej w języku naszym w wieku 17, bo aż 10%, dziś ich jest już tylko 6%.

Z wschodnimi wpływami łączą się i węgierskie, które zaczynają działać dopiero w w 16. Mamy i dziś jeszcze wcale pokaźny szereg wyrazów węgierskich, które nawet po części nie wyglądają na przybyszów, jak ciżmy, szereg, czaty, maślacz, katanka, giermek, husarz, dobosz; łatwiej r ł już domyślać obcych w słowach: czekan, hajduk, denasz, czaprak, szych, szyszak, kiereszować, hejfa się, niał, juhas, szałas.

I od Serbów coś niecoś mamy jak witezia, junaka i z Wołoszy, jak kniaź, koszary, bryndza, buhaj, fujarka hurmem, multanka.

Mniej ciekawą dziedzinę badań dla językoznawcy stanowi doba najnowszanie, jakoby tu obcych wpływów nie było, lecz dlatego, że te obce wyrazy na ogół odrazu jako obce się przedstawiają. Czy tu będzie chodziło o wpływ niemczyzny, szczególnie na Pomorzu i Śląsku, czy o wpływ łaciny i greki w tworzeniu wyrazów naukowych, czy nawet o wpływ francuszczyzny, nie trudno poznać przybysza i stwierdzić jego rodowód.

Jeszcze najwięcej trudności sprawią wyrazy francuskie, mające u nas prawo obywatelstwa po części już od XVII. w., od czasów „Marysieńki". W XVIII. w. wiele tu nagrzeszyły kobiety, zbytnimi fawory otaczając obcego przybysza z nad Sekwany. To też cały potok wyrazów francuskich rozlał się szczególnie dzięki konwersacyi salonowej na szerokie masy narodu. Niektórzy przybysze odrazu widoczni dla tych, którzy znają język francuski, inni ukryli się trochę, ale i ich rysy obce poznać można. Taki filut (filon) z filuternym uśmiechem, taki farmazon (franc-maçon), panoszący się w Polsce w końcu 18. w. to tacy tajemni cudzoziemcy. I dyzka obca z dil. kij, z quexue, kanwa z canevas, parawan z paravent, liliowy kolor, nie mający z lilią żadnego związku, z lilas, żena z gêne.

Należy jednak być ostrożnym w odkrywaniu przybyszów, bo mylnie chwytając Francuza, po niewczasie dowiedzieć się można, że to Włoch. Tak rodowitymi Włochami szarlatan, delikatny i inne.

Prócz niemieckiego i francuskiego inne języki objawiały wpływ nieznaczny w nowszej dobie. Tak np. hiszpańskie wyrazy: guzman (błazen), karawaka (krzyż nadłamany), olla potryda (pot pourri), dziś już ogółowi nieznane.

Za to w nowszych czasach wciska się trochę angielszczyzny, z życia parlamentarnego i sportowego szczególnie. Znane lawn-tennise i five oclocki i halle i gongi, znane speeche i snoby (w ang. ten, który chce więcej znaczyć niż jest w rzeczywistości).

Ogromny wpływ języków obcych mógłby nieświadomego rzeczy wprost przerażać. Ale sprawa w korzystnem objawi się świetle, gdy obcym wpływom i naleciałościom językowym przeciwstawimy rodzime bogactwo językowe, a także gdy rozważymy, że w innych językach wpływy obce są jeszcze większe i wyrazistsze.

Język polski, wywodzący się z prasłowiańskiego, mimo całą cudzoziemczyznę, jaka naszła jego dziedziny, zachował swoją samodzielność, wyniósł z tej walki nienaruszoną szatę rodzimą, „Mimo powodzi germanizmów", pisze profesor berliński, „język nasz cech słowiańskich nie stracił ani nawet naruszył"[1]).

Historya tych obcych wpływów, z jednej strony bolesna i upokarzająca, przynosi i tę pocieszającą naukę, że umiejąc się wyzbyć w ciągu wieków tylu obcych wyrazów, i w przyszłości wiele z nich wyświecić możemy. Trzeba nam tylko i w zaciszu domowem i w rozgwarze pracy publicznej, szczególnie przez Towarzystwa językowe, dbać o całość i czystość języka, bo zaiste, wart tego: „Trudny to język dla obcych, bogaty w formy, bogatszy w odcienie znaczeniowe tych form np. u czasowników; obfity nieskończenie w wyrazy nietylko jak niegdyś „kuchenne". Zwrócony on ku dwu frontom, jak dzieje narodowe same, chociaż wpływy od wschodu, inaczej niż w dziejach, w języku o wiele mniej zaważyły; złączeniśmy z zachodem na zawsze. Od startych nieco, przyćmionych rysów i cech zachodnich języków różni się jego barwność, za to mniej nadawał się do oderwanego myślenia, do którego go teraz naginamy. Najbardziej z zewnętrznych jego własności wpada w oko misterna tkanka jego wokalizacyi; w żadnym języku słowiańskim nie faluje tak, nie mieni się tak tych samych słów szata jak właśnie w polskim. Czem dla nas ten język się stał i wywodzić zbyteczna; ze spuścizny przodków jego nam nie wydarto jednego. Czcijmyż go i udoskonalajmy, wdzięczni, dumni!"[1]).

X. N. Cieszyński.

¹) Encyklopedya p. „Język polski".

¹) Al. Brückner, Dzieje języka polskiego, Lwów 1906 r.

Wspomnienie pośmiertne.
Ś. p. X. Aleksander Dworzański.

Na smutne i ciężkie czasy panowania ukraińskiego nad Zbruczem przypadł zgon śp. X. Aleksandra Dworzańskiego, administratora w Sidorowie (25 marca r. b.) Tyfus plamisty, który, współdziałał z niszczycielskim demonem ukraińskim, porwał kilka ofiar na najbardziej na wschód wysuniętych, obecnie przez wojska nasze zajmowanych kresach Rzeczypospolitej, z pośród polskich kapłanów: zmarł młodziutki wikary w Chorostkowie Józef Głowacki, zmarł proboszcz w Toustem X. Edward Pasieczny, proboszcz w Żabińcach X. Wojnowski i inni: tej samej chorobie uległ i ś. p. X. Aleksander Dworzański, w kwiecie wieku, bo licząc 39 lat dopiero,— legł w czasie, kiedy inni kapłani dopiero naprawdę swój program życiowy rozwijać zaczynają. I on miał plany szerokie, które chciał urzeczywistnić jako samoistny proboszcz sidorowski.

Już jako młodziutki wikary w Mikulińcach i Kozowej dowiódł wielkiego ducha kapłana-obywatela, o czem z okazyi przeniesienia jego pisały dzienniki. Tu jednak w Sidorowie nad Zbruczem, w ziemi husiatyńskiej, owoce pracy jego były jeszcze piękniejsze, bo duch jego dojrzał i więcej nabył doświadczenia.

W tych czasach złych wpływów i przykładów, na lud działających i strasznych haseł, umiał utrzymać parafian w równowadze i wierności przykazaniom Bożym i kościelnym, umiał ich zachęcić do częstej Komunii św. W tych czasach ogólnego zmateryalizowania, potrafił wyrobić w swych parafianach, ludziach prostych, mało kulturalnych, a zatem mniej na materyalizm odpornych, wielką troskę i dbałość o kościół i o szkołę polską T. S. L. Ze zdziwieniem przegląda się księgę ofiar kościoła sidorowskiego: tyle różnych składek: to na misye, to na kaplicę Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, to znów na balaski do prezbiteryum, odmalowanie kościoła i t. p. Prawda, że więcej ludzie mieli wtenczas pieniędzy niż dawniej, ale też większe potrzeby.

Duch jego prawdziwie kapłański okazał się w drugiej połowie 1917 roku, kiedy Sidorów i cała parafia znalazła się na pozycyi. Część parafii, wysunięta nad sam Zbrucz, została zupełnie wysiedlona. Dla tej części był X. Dworzański jedynym opiekunem, rozmieszczając ich, gdzie i jak mógł, by nie musieli gdzieś daleko na zachodzie dzielić smutnego losu innych w czeskich barakach. W samym Sidorowie zaś, który leżał tuż za rowami strzeleckimi, a który był ustawicznie ostrzeliwany, dniem i nocą, przez artyleryę rosyjską, był prawdziwym ojcem. Kto widział niemieckiego żołnierza na froncie, — a Niemcy ten front przez parę trzymali miesięcy — ten wie, że z gospodarstwa domowego, chlewnego, pasiecznego i rolnego ginęło wszystko. Ale X. Dworzański umiał zawsze wyrobić sobie u komendanta miejsca znaczenie — nie dla osobistych widoków, lecz dla dobra swych parafian i przez niego kładł tamę wybrykom żołnierskim. Wytrwać tyle miesięcy wśród ciągłego niebezpieczeństwa życia, zaopatrywać rannych i chorych wśród gradu kul, dawać tym ludziom znękanym, przerażonym, niejednokrotnie wątpić zaczynającym, tę pomoc, jaka płynie z nabożeństw kościelnych, z udzielania św. Sakramentów, zostać w tych warunkach

kiedy sąsiad proboszcz unita, wolał siebie niż owieczki swe ratować, — to mógł czynić tylko „pasterz dobry, który duszę swą daje za owieczki swoje."

Ten duch poświęcenia się i oddania owieczkom swoim uwydatnił się również w sp sób godny podziwu za czasów panowania ukraińskiego, kiedy straszna zaraza zaczęła się szerzyć. Okolica nadzbruczańska powiatu husiatyńskiego jest ogołocona z księży ruskich, którzy nie chcieli wracać do zniszczonych parafii — zaraza jednak nawiedzała wsystkich. Chorzy Rusini zwracali się także z prośbą o zaopatrywanie ich do X. Dworzańskiego, a ten spieszył z w atykiem, czy to wśród zawiei śnieżnych, czy po grudzie lub błotach, do wszystkich. Bywały dnie, w których z przerwą godzinną obiadową, od rana do 8-ej wieczorem chorych zaopatrywał, przesiadając się z fury na furę. A trzeba wiedzieć, jak i gdzie mieszkają ludzie nad Zbruczem! Opisać się to nie da, powiem tylko, że bydło przeciętnego gospodarza-Mazura wygodniej, cieplej, żyje aniżeli ci biedacy. Nic dziwnego, że w tych warunkach, przy braku zupełnym bielizny na zmianę, zagnieździło się robactwo, ten kolporter tyfusu plamistego i nic dziwnego, że wobec takich stosunków padł i śp. X. Dworzański ofiarą tej choroby. Męczył się biedak strasznie przez 17 dni ale przez 10 ostatnich był już nieprzytomny. Zaraz po zasłabnięciu wyspowiadał się i oleje święte przyjął, jakby przewidywał, że wnet utraci świadomość.

Patrzyłem na jego dobre życie, wzorowałem się na jego gorliwości duszpasterskiej, poznałem jego piękną duszę, byłem świadkiem jego strasznej choroby, umarł w mojej obecności — to mię zachęca do powiedzenia, że warto oddać duszę swą za owieczki! Kiedy się widzi ten żal ludu osieroconego, który czuje, że traci ojca i opiekuna, kiedy się słyszy w konfesyonale, jak te proste chłopskie serca robią przeróżne ofiary ze siebie, żeby im tylko „X. proboszcza Bóg nie zabrał", kiedy się widzi, jak po śmierci jego dają zawsze jeszcze, po tylu miesiącach, na mszę św. za duszę „naszego X. proboszcza" i Polacy i Rusini, wtedy rodzi się w duszy błogie uczucie, że jednak warto nawet życie oddać za owieczki swoje tak, jak to uczynił śp. X. Dworzański!

X. Władysław Matus.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

Mianowany Dziekanem — Infułatem Kapituły Metropolitalnej we Lwowie X. Wincenty Czajkowski, kanonik gremialny i szambelan Ojca św.

Kanonikami honorowymi Kapituły Metropol. X. Dr. Eustachy Jelowicki, prob. w Trembowli, X. Stanisław Krauss, prob. w Brodach.

Dziekanami mianowani: dla dekanatu brodzkiego X. Stanisław Krauss, jak wyżej, dla dekanatu tarnopolskiego X. Maryan Szamota, prob. w Tarnopolu.

Ekspozytem w Skomorochach X. Michał Pawłowski, były prob. w Żniatynie, — po powrocie z Ameryki.

Posadę katechety w Monasterzyskach otrzymał X. Józef Filipek, koop. w Płazowie;

Przeznaczony na kooperatora w Podhajcach: X. Piotr Stanoszek.

Egzamina na katechetów szkół średnich odbędą się we Lwowie w dniach 19. i 20. grudnia r. b.

Na fundusz prasowy Tow. wz. pom. kapl. złożyli P. T. Księża: Michał Kołodziej (z Góry ropczyckiej) 20 K. dr. Stanisław Szurek 13 K. dr. Mikołaj Więcław 13 k.

Sprostowanie.

Odnośnie do notatki w nrze 13-ym pt. **„O nowy Dom zdrowia dla księży"** (str. 170), donosimy, że wkradła się p o m y ł k a (nie z winy Korespondenta).

Adres Korespondenta, będącego obecnie na urlopie, opiewa: X. H. Weryński, S m ę g o r z ó w p. D ą b r o w a, k o ł o T a r n o w a. *Red.*

DRUKARNIA UDZIAŁOWA, LWÓW, KOPERNIKA 20.